Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

DZIK.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

przez

Władysława Spaustę.

(Ciąg dalszy.)

Już pierwszy rzut oka na głowę dzika wzbudza przekonanie, że musi on być opatrzony bardzo subtelnemi organami węchu i słuchu. Jama nosowa, ograniczona kośćmi nosowemi, jest nadzwyczaj wydłużoną ($1^1/_2$ raza dłuższa niż u świń domowych), znajduje się w niej zatem przestrone miejsce dla silnie rozwiniętych muszli, których szeroką powierzchnię okrywa błona węchowa.

Ucho, wielką opatrzone muszlą, bardzo ruchliwe, dowodzi również, iż słuch musi być u dzika subtelnym. I w istocie dwom tym doskonałym zmysłom zawdzięcza dzik jeszcze może swoją egzystencję; one salwują go nieraz od niebezpieczeństwa i ostrzegają o wszystkiem, czego inne zmysły uczynić nie mogą.

Według twierdzenia naturalistów, najsłabszym zmysłem dzika jest wzrok. Doświadczona to rzecz wprawdzie, iż dzik bardzo często tuż na myśliwego wychodzi, jednak przyczyn tego nie szukałbym w złym jego wzroku. Niezawodnie, iż twierdzenie naturalistów ma swe źródło w opowiadaniach myśliwych; te jednak jakkolwiek są pozornie prawdziwe, w tym względzie wypaczają istotę rzeczy.

Podczas gdy człowiek, posiadając oczy osadzone na jednej płaszczyźnie, patrzy równocześnie przed siebie obu oczyma i widzi przedmioty pod rozmaitemi kątami widzenia, czyli stereoskopowo, a do tego przy łatwej zwrotności głowy widzi tak samo i na boki, są u zwierząt organa te osadzone po największej części na bokach głowy, a zatem na dwóch rozmaitych płaszczyznach, w skutek czego widzenie stereoskopowe jest niemożebne, a ku przodowi słabe. Zwierz zatem patrzy każdem okiem osobno, a przedmioty znajdujące się w linii prostopadłej do płaszczyzny oka najdokładniej spostrzega. Wypływa ztąd całkiem naturalnie, iż dzik, idący wprost na myśliwego, czyli na sztych, widzi bardzo mało przed sobą i zbliża się nieraz tak, iż mu z drogi ustąpić wypada. Oprócz tego nadmienić tu muszę, iż zwierzęta te

posiadają w swym charakterze pewien rodzaj uporu, apatyi czy lenistwa w używaniu zmysłów, a ta wada staje się nieraz dla nich fatalną. To też dzik, wygodnie rozkoszujący w leży, mimo doskonałych zmysłów, da się często zejść lub zjechać, a żerując po lesie, tak jest tem zajęty, iż włazi czasem pod nogi myśliwemu, spłoszony zaś, upornie obiera pewien kierunek w biegu, z którego go i strzały zbić nie zdołają.

Po ruchach i zachowaniu się zwierza w chwili, gdy mu grozi jakieś niebezpieczeństwo, poznać można łatwo, zapomocą którego organu zmysłowego przyszedł do świadomości stanu rzeczy.

Dzik, ostrzeżony węchem, staje raptem, wznosi gwizd w górę, krzyka i zmienia natychmiast kierunek pochodu. Przy podejrzanym szeleście staje i odsadza uszy od głowy. W obu wypadkach staje on na chwilę widocznie dlatego, aby szelestem własnego pochodu i wonią ruszonej ziemi nie kłucić sobie zmysłów wytężonych.

W obu wypadkach spogląda niejako błędnie, nie biorąc ściśle na oko żadnego przedmiotu. Może i ta okoliczność była powodem przypisywania mu złego wzroku. Widziałem wszakże mnóstwo wypadków, że dzik, jeśli tylko myśliwego mógł dostrzec, zoczył go doskonale i na kilkaset kroków. We wszystkich takich wypadkach szedł jednak na połeć lub z ukosa. Jeżeli dzik chce użyć wzroku, staje zawsze prawie na połeć. Widzieć to można najlepiej, gdy stado dzików czemkolwiek zostaje zaciekawione; stają wtedy po największej części na połci przedmiotu i mimowolnie w takim razie dobry cel przedstawiają.

Jak wogóle prawie wszystkie zwierzęta dzikie, tak i dzik w porze hymenowych godów zaprząta tylko jedną myślą swój umysł; na wszystko, co go otacza, staje się mniej lub więcej obojętnym. A przypada to właśnie na porę, w której najwięcej polują na dziki, i wtedy to zdarzają się wypadki, które w oczach myśliwych zdyskredytowały niektóre organa zmysłowe dzika.

O zmyśle smakowym dzika niewiele się da powiedzieć. Bardzo szeroki a treściwy jest zakres jego żywności. Zoologowie zaliczają go do zwierząt wszystkojedzących (omniworów) i słusznie; żre on wszystko, co tylko pożreć da się. Jest jednak niezaprzeczoną rzeczą, iż organ smaku musi mieć wykształconym, skoro wobec obfitości pokarmów wybiera tylko takie, które najwięcej podniebieniu jego dogadzają. Zato w porze, gdy się *menu* jego bardzo ścieśni, nie przebiera wcale, i umie korzystać z byle jakiej karmy, asymilując doskonale wszystko, co mu tylko sił i krewkości dodaje. Pomocnym mu jest w tem jego aparat trawienia, który, posiadając długość piętnastorazową ciała, umożebnia bardzo silną asymilacyę i wyzyskanie choćby mało pożywnego żeru.

Już starzy myśliwi zwrócili na to uwagę, iż dzik w rozmaitych okolicznościach rozmaite głosy wydaje. Jest to w gruncie rzeczy zawsze jakiś „volapük“ świński, ale u dzika posiada zarazem i swe charakterystyczne cechy. Różnorodność słyszanych głosów dała też powód do tak bogatego słownictwa łowieckiego w tym kierunku. Sysak lub warchlak „kwiczy“, maciora „grucha“, „gruchota“ lub „rechta“, odyniec „dmucha“, „szumi“, „gwiżdże“ lub „krzyka“. Niepodobna opisać różnorodności dźwięków tej inartykułowanej mowy, w której, mimo pozornej monotonności, brzmią faktycznie całkiem odmienne brzmienia, jakie z pewnością każdy odróżnić potrafi. Głosy te wystarczają dzikom zupełnie do wzajemnego porozumienia się, i są mową zastosowaną do potrzeby. Zaprzeczać mowy zwierzętom niepodobna; czynimy to chyba dlatego, że jej nie rozumiemy.

Z końcem listopada, lub w początkach grudnia pojawia się u samic popęd płciowy, czyli maciora „lochać“ się poczyna. W czasie tym można słyszeć w kniejach trele miłośne, „gruchania“, zwołujące na gody weselne.

Gody (oprawa) zawsze odbywają się w najgęściejszych zapustach, zaroślach i ostępach po odbiciu niepotrzebnych, bo słabszych siłą konkurentów. Zwierz starszy, przynajmniej sześcioletni, któremu kły już kabłąkowato się zakrzywiły i nie mogą być używane w sposób taki, jak u młodych, nie jest w stanie dotrzymać placu młodszym zapaśnikom i pędzi życie więcej samotne; żyje tedy sam dla siebie i ztąd zwany w łowczym języku „odyńcem“ lub „pojedynkiem“.

Towarzyskie usposobienie dzików skusi często odyńca do złączenia się ze stadem; uchodzi mu to bezkarnie aż do pory lochania się maciory. Wtenczas knieje stają się miejscem strasznych walk, turniejów na ostro, z których podstarzały konkurent wychodzi z wielkim szwankiem, bo ze skórą popprutą i poturbowany na wszystkie strony. Dobór płciowy odbywa się tu w całem tego słowa znaczeniu, a maciora najwaleczniejszego kochanka zaszczyca swemi względy. Tylko zatem młodsze dziki stają się ojcami pokoleń, a mianowicie tylko najsilniejsze, które złożyły dowody swej krewkości. Zdrowe są przeto te pokolenia, mimo ciągłych incestów i nie potrzeba im ani gór Tajgetu ani orłów. Po przegranej nie pozostaje odyńcowi inna droga, jak, salwując życie, uchodzić.

Zdarzyło mi się kilka razy dostać odyńca zaraz po zapasach hymenowych. Skóra na nim wzdłuż żeber była poprzerzynaną na 25 cm. długości, a ran takich nieraz kilkanaście znachodziło się i wszystkie były zadane szablami wycinków, a prowadzone z dołu do góry. Opisanemi już przymiotami skóry tłómaczą się owe kolosalne rany. Gdyby nie gąbczastość i rzadka tkanina, byłyby one wcale niemożliwemi, biorąc na uwagę grubość skóry.

Odpędzony od stada odyniec myśli przedewszystkiem o wygojeniu swych ran; udaje się zatem w gąszcze lasów szpilkowych i tam, ocierając się o drzewa, zdziera korę i warstwy mięsistsze, w skutek czego następuje wypływ żywicy, która stanowi prawdziwy balsam na jego rany. Żywica zalepia rany, chroni je od przystępu powietrza i zarodków pasożytnych i pod takiem antiseptycznem pokryciem goją się rany bardzo szybko.

Zauważyłem, że odyniec ma tylko do pewnych drzew nadzwyczajną predylekcję. Drzewa te służą mu z roku na rok do celów kuracyjnych i wpadają w oczy tem, że są do wysokości 1-metrowej uszkodzone na korze i warstwach miazgowych, a odznaczają się miejscami wytartemi i strupami żywicy, na których tu i owdzie szczeć i włosy przylepły. Naturalnie, że drzewa takie żyją tylko dopóty, dopóki skutkiem zupełnego obnażenia pnia z kory i warstw miazgowych, prąd soków zupełnie w nich nie ustanie. Szczególna rzecz przytem, że dzik wybiera do swych celów leczniczych zazwyczaj drzewa skarłowaciałe lub chore, jakgdyby wiedział o własności szpilkowców, iż w tym stanie największą ilość soków żywicznych wytwarzają.

Co do ogólnego głosu naturalistów i myśliwych, iż odyniec w ten sposób nieraz zupełnie się opancerza warstwą żywicy, tak, iż kula od tego pancerza się odbija, nie mogę nic powiedzieć, gdyż tak opancerzonego odyńca nigdy w życiu nie widziałem. Widziałem u starych odyńców tu i

owdzie zlepki żywicy ze szczeciną, jednak dalekie to jeszcze od miana pancerza, którego kula przebić nie zdoła! Sądzę przeto, że owe „opancerzone odyńce“ należą do bajek myśliwskich, a podając takie *votum separatum* na podstawie długoletniego doświadczenia, proszę szczerze kolegów zawodu o podanie mi dowodów przeciwnych, abym w takim razie mógł moje zapatrywanie zmienić. Wszystkiego w tym względzie jeszcze nie doświadczyłem, a księga natury dla każdego leży otwarta.

Popęd płciowy u maciory pojawia się w drugim roku, a pierwiastki takie wydają po 18—20 tygodniach brzemienności 5 -6, starsze zaś maciory 10—16 prosiąt; liczba najwyższa bardzo rzadko się wydarza.

Prosięta (sysaki) przychodzą na świat w początku kwietnia, lub z końcem marca, gdy już maciora łatwiejsze do egzystencyi posiada warunki. W pierwszych dniach po urodzeniu maciora tuli je koło siebie w leżysku, usłanym suchą trawą, liściem lub mchem. Zdybywałem jednak świeżo zlężone prosięta i na nagiej ziemi. W pierwszych dniach mało je maciora opuszcza, to też chudnie ogromnie. Ggdy prosięta się wzmocnią, zaczyna maciora mocno żerować, oddalając się na dłuższy czas od prosiąt. Później odbywa wspólnie z nimi wędrówki nawet dość dalekie, a w razie niebezpieczeństwa broni je z narażeniem własnego życia i może się stać wtedy bardzo niebezpieczną.

Zajmującym jest widok takiej familii w pochodzie Dobroduszne rechtania maciory łączą się z kwikiem prosiąt igrających, a całość składa się na akord pełen wewnętrznego zadowolenia i swobody. Nowo narodzone prosięta noszą na sobie sukienkę pstrokatą, w której prześlicznie wyglądają. Na tle rdzawem ciągną się ostro markowane pasy barwy czarnej, brunatnej i jasno-płowej. Barwa ta gubi się dopiero w 4 lub 6 miesiącu i odtąd prosięta zwą się już warchlakami.

Zdaje się, że w pierwszych dwóch miesiącach życia żywią się prosięta wyłącznie mlekiem maciory; później zaczynają wspólnie z matką żerować w buchtach przez nią zrytych. Wreszcie maciora, widząc, że już dobrze żerują, niechętnie im ssać daje; pozostają jednak zwykle przy maciorze aż do późnej jesieni, kiedy najsilniejszy popęd, pojawiający się wtenczas u maciory, rozłącza je i zmienia ten czuły stosunek familijny

Osierocone warchlaki, które odtąd język łowiecki paciukami zowie, trzymają się dalej razem, łączą się nieraz z innemi, nawet dorosłemi sztukami i prowadzą życie towarzyskie. Rzadko się zdarza spotkać stado z samych warchlaków i paciuków złożone; prawie zawsze przymieszane są tam sztuki grubsze, a czasem stary odyniec prowadzi stado. Zwierzęta te potrzebują doświadczonego kierownika; a gdy kierownik taki ub tym zostanie, pokazuje się zaraz w obrotach pozostałej młodzieży niedoświadczenie i pomieszanie. Wypadek taki nastręcza sposobność łatwych łowów na dziki, pozbawione kierownictwa. Bywa, że stado wtenczas się rozbija, „rozpryskuje“, jak mówią myśliwi, a rozpryśnięte sztuki, niedoświadczone, dają się łatwo upolować. Po uspokojeniu się w kniei łączą się napowrót, a w krótkim czasie mają nowego kierownika, jeżeli zaś w okolicy godnego na tę posadę nie ma, wynoszą się zupełnie z dotychczasowych siedzib i łączą się z innemi stadami, odbywszy nawet kilkumilową podróż.

Prosięta są to zwierzątka zwinne, zgrabne i nadzwyczaj wesołe. Po kilkakroć udało mi się takowe żywe złapać, jednak nie powiodło mi się nigdy wychować je. Piły wprawdzie mleko krowie, inne ssały domową świnię, lecz pierwsze ginęły na rodzaj wzdęcia, z zatkaniem połączonego, drugie na silną biegunkę. Pewnego razu (d. 8. marca 1884.), złapawszy sześć sztuk odrazu (a był to płód niezwykle wczesny), podzieliłem je na trzy partye, po 2 do trzech domów, jednak i tu ani jedna sztuka nie przekroczyła 6 tygodni życia.

Zdaje się, iż zupełnie inny sposób żywienia się maciory w porównaniu do pokarmu naszych świń, w których już prawie wszędzie płynie krew ras angielskich, wytwarza pokarm specyalny, który nie da się zastąpić czem innem. Niezawodnie. że próby wychowania prosiąt dzikich zapomocą świń nieuszlachetnionych, pierwotnej rasy naszej, wypadłyby daleko korzystniej. W danym wypadku nie miałem do dyspozycyi matki takiej, dlatego nie mogłem pod tym względem żadnych robić doświadczeń. Do przypuszczenia tego skłania mnie ta okoliczność, iż rasy angielskie pochodzeniem różnią się bardzo od dzika, podczas gdy nasza świnia najpewniej w prostej linii od niego pochodzi.

Często słyszałem o udanem wychowaniu prosiąt dzikich, nie widziałem jednak nigdy dzika w chlewie wychowanego. Czyliżby on miał zaraz w pierwszej generacyi zmienić się nie do poznania?

Konstanty Pietruski, autor „Historyi naturalnej zwierząt ssących galicyjskich“, niegdyś właściciel menażeryi zwierząt krajowych w Podhorodcach w Stryjskiem, opowiada, iż w r. 1842. darował dwoje prosiąt trzytygodniowych T. Pietruskiemu do Lubieniec. Z tych jedno zginęło, a drugie tak się ułaskawiło, że wszędzie wolno chodziło. Nie wspomina autor, czem to prosię karmiono i czy cechy jego się zmieniły.

Krzyżowania dzików z naszemi domowemi świniami, jakkolwiek są przypadkowe, zdarzają się bardzo często, jednak potomstwo mało na sobie nosi cech ojca, a mimo to płody tego rodzaju natychmiast dadzą się odróżnić pod względem pochodzenia.

W jesieni zginęła mi przed paru laty locha (rasy krajowej); wszelkie prszukiwania pozostały bez skutku, sądziłem, że ją ukradziono. Po trzech tygodniach wróciła sama do domu, gdzie ją z radością powitano. Po 17 tygodniach zległa 9 prosiąt. Były one kształtem zbliżone do matki, srokate, pasiaste i dzikie nie do opisania. Ośmioro wychowało się, ponieważ jednak źle jadły, zbyłem je przy pierwszej sposobności jako warchlaki pięciomiesięczne.

Leży to w naturze świni, że bardzo prędko dziczeje; to też zdarza się, że świnia, uciekłszy do lasu, więcej nie wraca i staje się tam matką pokoleń krasych, płaciastych. To dało między innemi powód do mniemania, iż znajdują się dziki rozmaitej barwy.

W lasach naszych, w których po dziśdzień dzik jest królem, nie grozi prosiętom niezawodnie takie niebezpieczeństwo jak tam, gdzie wielkie zwierzęta drapieżne wymagają ofiar dla siebie. U nas chyba wilk zbłąkany byłby dla płodu niebezpieczny, bo wątpię, aby lis, wobec czujności maciory i krzykliwości prosięcia, mógł tam wiele skorzystać. Pewne niebezpieczeństwo musi prosiętom grozić i ze strony odyńca, bo rzecz to wiadoma, że maciora się przed nim ukrywa, dopóki prosięta są małe. Czyżby to miała być kanibalska zemsta na własnym rodzaju za skandal, jakiego doznał w jesieni? Pytałem o to nieraz tajnię kniei, ale pytanie moje dotychczas zostało bez odpowiedzi.

Podają naturaliści, iż dzik do 30 lat wieku dochodzi. Jak u wszystkich zwierząt w swobodzie żyjących, tak i tu podania te nie mogą mieć pretensyi do miana pewnika. To

też wyrażają się w tym względzie bardzo oględnie: „wiek szacują na lat tyle a tyle...“ „ma osiągać wiek..“ „powiadają, że żyje tyle“ i t. p.

Sądzę, że nad tym przedmiotem najlepiej nie rozumować, jeżeli się nie ma żadnych danych i przyznać się do niewiadomości. Lepszą jest ta droga, aniżeli bezmyślne przepisywanie podań obcych, niemających naukowej wartości. Brak odpowiedzi w kwestyach przyrodniczych zachęca do badań, które z czasem wypełniają lukę, odpowiedź zaś byle jaka, jest wypływem słabostki natury ludzkiej, a tę powinien przyrodnik raz na zawsze od siebie odrzucić.

Wszelkie kombinacye wieku świń domowych, niemniej dzików, utrzymywanych po parkach lub menażeryach, nie mogą stanowić doświadczeń ściśle naukowej wartości, gdyż zanadto są to odmienne warunki, aby analogia do pewnych doprowadzić mogła wniosków.

W naszych czasach, gdzie ilość dzików znacznie jest mniejszą w porównaniu do przeszłości, gdy w rękach mamy odtylcówki, drylingi, repetierki i t. p. mordercze instrumenta, które nie bzikają jak niegdyś skałkówki naszych ojców, wątpię, aby któremu z dzików udało się dożyć bardzo sędziwego wieku. Zdarza się tu i owdzie ubić wielką i starą sztukę, ale w regule zabite dziki liczą 2—3 lat.

Mimo towarzyskości dzika, spotykamy często nietylko odyńce, lecz także starsze warchlaki, lub dorosłe sztuki, pojedynczo wałęsające się po lesie. Przypisać to należy wyjątkowym także okolicznościom. Są to albo egzemplarze podupadłe na siłach w skutek ran, braku pokarmów i t. p., albo resztki wyniszczonych stad, albo nareszcie przez myśliwych lub przez psy odbite od stad sztuki, którym w drodze do połaczenia się ze stadem stanęła jakaś przeszkoda. Tego rodzaju singeltony nie przebywają nigdy długo w jednem miejscu, jeżeli tylko są zdrowe; są niejako tylko na popasie.

Trzoda dzików kroczy w pochodzie łańcuchem, w popłochu zaś skupia się na chwilę i znów łańcuch rozwija. Zwyczajnie przodem idzie sztuka grubsza, kierownik stada, dalej przeplatanego młodzież i starszyzna. Łańcuch taki często się przerywa, jednak i w przerwanym łańcuchu w tyle idące dziki idą w ślad za przednimi, a tylko dla ważnych przyczyn cokolwiek zbaczają, aby znów wskoczyć na poszlak już zrobiony. Łańcuchowy ten pochód utrudnia na białej stopie określenie ilości przeszłych dzików, bo są to ścieżki formalne. Przy żerowaniu i buchtowaniu postępują stada powoli, zbaczając od kierunku głównego i schodząc się znów razem. Na żerowiskach jeszcze najlepiej wybadać można ilość zwierząt. Z poszlaku dzika można przy jakiem takiem doświadczeniu wywnioskować wielkość, ba nawet na płytkim bardzo śniegu i wagę, czyli sadlistość dzika. Tak w susie (skoku) jak i w pochodzie wolnym pozostaja oddalenia pojedynczych stąpań nóg w pewnym stałym stosunku do długości ciała; jest to zatem miara stała, która nigdy nie myli.

Nie jest tak pewnym sąd według wielkości rapci, chyba że ziemia jest tego rodzaju, iż rapcie zupełnie ostro i plastycznie się odznaczają. W innych okolicznościach, uważając tylko na rapcie, nie można sobie dokładnego o wielkości wyrobić wyobrażenia. W pewnych wypadkach, np. na suchym a głębokim śniegu, poszlak jest tak niejasny, że pewnej rutyny nawet wymaga, aby rozpoznać, w którym kierunku zwierz przeszedł. U dzików ciężkich, sadlistych, staw pęcinowy nagina się w kąt ostrzejszy, a skutkiem tego tylne rapcie poczynają mocno dotykać ziemi, podczas gdy zwyczajnie na płytkim śniegu, lub miękkiej ziemi, albo wcale się nie odznaczają, lub końcami tylko ślady pozostawiają. Są to różnice wprawdzie subtelne, lecz zawsze różnice, stanowiące o rzeczy, a bynajmniej nie przesada łowiecka.

Dzik, zamieszkując zawsze tylko dane, ściśle ograniczone partye kniei, obiera w swych pochodach pewne miejsca, któremi przechodzi. Miejsca te myśliwi „przesmykami“ zowią. Widzieć je można najdokładniej na drogach, liniach i ścieżkach lasowych. Kto zna dobrze jakąś knieję i często w niej polował, jest wstanie wytyczyć te miejsca, a dziki, idąc, zboczą tylko bardzo mało lub wcale nic od wytyczonej drogi.

Rzecz zaiste dziwna, że zwierz ten konwencyonalnie trzyma się jednej drogi, chcąc dojść do pewnego miejsca, mimo to, iż idąc na przełaj, mógłby czasem dwie trzecie części drogi zaoszczędzić. Niezliczone razy badałem poszlaki dzików w pochodzie za żerem; zawsze przechodziły one okółkiem pewne partye lasów, aby się dostać do żerowisk. Pochody te odbywały się po kilkanaście razy jednym i tym samym szlakiem, tak, że tylko z wielką trudnością można było rozpoznać świeże przejścia. Wspomniany konserwatyzm dzika starają się myśliwi zawsze wyzyskać, obstawiając przesmyki. Jeżeli zwierz przodem nie był niepokojony, a polowanie umiejętnie jest prowadzone, udaje się zawsze ta sztuka. Lecz jakże odmiennie przedstawia się cała historya, gdy zwierz zmiarkował, w jakiej sytuacyi się znachodzi. Wtenczas — ręczę za to — nikt nie jest wstanie przewidzieć, jaki on plan uknuł w swej klinowatej głowie i można być prawie pewnym, że na dziś już go oko myśliwego nie zobaczy. Wtenczas nie zna on żadnych konwencyj, żadnych prawideł i robi stanowczo tylko to, co uzna za zbawienne. Na pierwszy podejrzany głos, lub szelest niewyraźny, podnosi się z leży samura, lub jeden ze starszyzny (samury w ogóle są czujniejsze i ostrożniejsze), stoi jakiś czas w milczeniu, uszy poruszają się jak wachlarze, a wzrok kołuje, nie spoczywając na żadnym przedmiocie, co jest dowodem ogromnego wytężenia słuchu. Wrażenia zmysłowe doprowadzają wreszcie do wniosku, a na dane hasło pewnym rodzajem gruchnięcia, całe stado jest na nogach, zbite w niezgrabną kupę. Potem jeszcze chwila nadsłuchiwań i wietrzeń, aż wreszcie za przewodnikiem całe stado opuszcza legowisko, biegnąc albo w bok, albo na obławę.

Zdarza się, iż dziki przedzierają się przez nagonkę i natychmiast po przejściu tejże, wracają napowrót na miejsce, skąd ruszyły; inną razą uderzają na nieobstawione skrzydła i wynoszą się niepostrzeżenie w inne partye lasów, wreszcie idą na myśliwych, a w odległości kilkuset kroków od linii tychże, nawracają, aby pomknąć szlakiem dotychczas nigdy nieuczęszczanym. Wogóle dziki raz ruszone, jeśli nie wyszły po pierwszym ruchu, są nadzwyczaj trudne do dostania. Zdarzają się wypadki, że stada dzików, a nawet pojedyncze sztuki, mając do ucieczki ogromne obszary lasów, wybierają się na czyste pola, przebywają wielkie odległości, przepływają doskonale wody i zwalczają wszelkie przeszkody terenu. W takich razach powiadają myśliwi: „Dziki zwaryowały“ i przypisują im chorobę umysłową za wykonanie najszczytniejszego pomysłu, za prawdziwy dowód dziczego rozumu.

Gdybym nie był wychowankiem XIX. wieku, wieku, który wszystko bierze pod skalpel, wszystko rozbiera i aż w zwojach mózgowych szuka przyczyny pewnych objawów, uwierzyłbym, że w pewnych chwilach, groźnych dla egzystencyi tych synów wolnej przyrody, jakiś dobry duch lasów poddaje im sposoby ratunku. *(Ciąg dalszy nastąpi.)*

NA WIOSNĘ.

Milczy las snem spowity. Od pastwisk, od sioła
Hukanie mknie po rosie... Aż o lasu ścianę
Odbija się przeciągle... Potem głosu fala
Tonie w gąszczach i milknie. Przez niebo rozkoszne,
Gwiazd milionem zasiane, mgła się wlecze szara,
Ciszą wszystko otula, głuszy, snami sieje
I kryje przed gwiazd okiem.
Czyż martwą ta knieja?
Cóż się dzieje w tej gąszczy, odkąd gwar myśliwych,
Huk strzałów i głos rogu w niej się nie rozlega?
Czyliż łowiec tak straszne zrobił tutaj rzezie,
Że już nic żyjącego puszcz tych nie przebiega,
Że na zawsze zaległo je śmierci milczenie?

Cyt... Jakieś szare blaski widnieją na niebie.
Pobladło gwiazd oblicze i falą od wschodu
Jakiś wiatr młody wieje jakby budząc życie...
To nie światło, to ledwie że światła przeczucie,
A już się odezwała gra miłośna głuszca.
Zrazu rechtem nieśmiałym, telękiem, kłapaniem,
Coraz to w szybszej nucie zapał swój roznieca.
W dal po lesie rozbrzmiewa silny głos koguta,
A ptaszęta, co głowy wtuliwszy pod skrzydła,
Spały jeszcze — na głos ten, pełne przerażenia
Budzą się i ćwierkają, pytając, gdzie słońce?

Liszka, zwierz ów „zorzany“ także szczerzy ucho
Na puchanie koguta. Zbiera też co żywo
Figlarną swą rodzinę maleńkich mykitków,
I dyndając pod krzaki, pełzając na brzuchu
I chojcając ku samce, co koguta czeka —
Uczy młode swe plemię krwawego rozboju...

Jeszcze słońce nie zeszło, sen nie zeszedł z powiek,
A już się w pośród kniei walka o byt toczy.
Sam las ruszać się zdaje. Z liściastej czupryny
Kurzy się. Mgły się wznoszą i powiewnym rąbkiem
Ulatują ku niebu.
Wtem już świerków szczyty
I mleczną trzódkę chmurek świt zaczął rumienić.
Z ćwierkań kosów, gajówek, piegz, drozdów i sikor
Coraz głośniejszy pean wzbija się ku niebu,
Aż w końcu wrota wschodu pękają na oścież
I sunie się z nich złoty krąg rannego słonka.

Głosy, barwy i wonie splatają się wówczas
W jeden hymn wiecznej wiosny. W dużych perłach rosy
Na sto tęcz promień słońca rozkosznie się łamie,
A przez dach ciemnych buków i przez brzóz korony
Leje się żywe złoto na mchów miękką pościel...

Nie broń morderczą strzelca — oko przyrodnika
Ślij na promieniu słońca w zielone gęstwiny,
A ujrzysz, jak w przedziwnym warsztacie natury
Cud miłości odtwarza to, co broń tępiła.

Chrapnęło coś wśród szczytów i na rannem niebie
Widzisz sylwetkę słonki, co do gniazda spieszy;
Cieciórka szuka także spokojnej pieleszy —
A z ozimin, nie syty miłośnych swych parkań,
Ściąga cichaczem zając ku leśnej zaciszy.
Przepastne głębie kniei także pełne życia:
Na legowisku lśniących liści kopytnika,
Co aromatem nozdrza ruchliwe rozdyma,
Pośród białych zawilców i marzanki wonnej
Siuta swe centkowane ukrywa sysaki.
Rogacze, porzuciwszy matkujące kozy,
Zażywają swobody — a stary odyniec,
Któremu krzywe szable wiek już wypisały,
Doczekawszy despektu przy miłośnej walce,
Kryje wstyd w najczarniejszych gdzieś ostępach kniei,
I nastroszywszy pióra buchtuje ponuro.
Nie dba o to maciorka, co z dzielnym wycinkiem
Odprawiła już gody. Dziś, w cienistym schronie,
Leżąc przy swych warchlaczkach cała jest zajęta
Przyzwoitem czeredki licznej wykarmieniem.

Cicho — ciszej... Na kołku broń zawieś myśliwcze
I dozwól, niech przyroda zagoi te rany,
Które jej twa namiętność łowiecka zadała...
Cicho — niech nawet szelest kroków twych nie płoszy
Tej idylli wiosennej. A trzymaj na smyczy
„Dunaja“ i „Hektora“, co zwydrzeni łupem,
Którego dzielna twoja broń im dostarczała,
Sami dziś łowieckiego chcą się jąć rzemiosła.

Cicho — w głębiach tajemnych wiosennej przyrody,
Zkąd promień słońca dziwne wyprowadza cuda,
Słychać nowy puls życia. Cicho... Nie dla ciebie
Tam dzisiaj pole działań. Tam, w zmrokach lesistych,
Nie sztuka i nie rozum — tam dziś tworzy miłość.

St.

Proszone polowanie.

Obrazek myśliwski

przez

ALEKSANDRA UBYSZA.

Pewnego dnia, roku 187... napotyka mnie pan X. na jednej z ulic Lwowa i swoim zwyczajem nie mówi ale trzepie jak na kołowrotku:

— Pojedziesz pan na polowanie do ***?

— Ależ nie znam tam nikogo — odpowiadam.

— Nic nie szkodzi. Mój znajomy, który jest bardzo dobrym znajomym znajomego pana N., prosił mnie do *** na polowanie, więc ja pana zapraszam.

Czytelniku, jeżeli za dawniejszych czasów, a po części i dziś jeszcze pomiędzy szlachtą wiejską odgrywało niemało rolę pokrewieństwo, częstokroć do potęgi rozcieńczone — to po miastach i w sferach mieszczańskich niemniej ważną odgrywa rolę znajomość — osobliwie, gdy się znajomych nie do siebie zaprasza.

— No, jedziesz pan, czy nie? — napiera X., którego nazwę Trzepałkowskim.

— Ależ...

— Nie ma „ale“ — odpowiada. — Zatem jutro na dworcu kolei żelaznej.

Sam co tchu pobiegł, prawdopodobnie zapraszać więcej gości do swojego znajomego w trzecim stopniu.

Nazajutrz stawiłem się na dworcu, jako tako uzbrojony. Na sali poczekalnej zastałem kilku panów, umontowanych i uzbrojonych, wyraźnie jak do polowania, a trzymających się osobnej kupki. Widocznie, że ich kto inny, nie Trzepałkowski, zaprosił. Nas, w drugiej kupce było szesnastu, z rodzajem dowódcy w osobie Trzepałkowskiego. Przy wsiadaniu do wagonu okazała się spora liczba myśliwych — około pięćdziesięciu.

Wyznam otwarcie, że struchlałem na widok tak licznego zastępu gości, którzy po kilkugodzinnych łowach, niby horda Tatarów, napadną niezasobny dom amfitryona łowów, leśniczego.

Że leśniczy nie spodziewał się tak licznych gości ze Lwowa, najlepszym były dowodem dwie fury, które na najbliższą stacyę kolei był wysłał. Ten brak dyskrecyi ze strony Trzepałkowskiego już nam skwasił humor.

Siadać na podwody! Ależ w jaki sposób pomieści się na dwóch chłopskich furkach aż tylu pasażerów? Więc ktoś wydał wyrok salomoński: „Chorzy i starzy siadają na podwody, reszta pieszo dojdzie do pobliskiej wioski, gdzie podwód dostanie.“

Najpierwsi ruszyli grubasy. Kilku siwoszów zapełniło wozy, które w istocie powyżej brzegów były zapełnione.

We wsi nająwszy fury, ruszamy odrazu ku kniei, gdzie się polowanie odbyć miało. Nie wszyscy jednakowoż byli tego zdania; żal im się zrobiło spodziewanego śniadanka, więc pojechali ku leśniczówce.

Znaczną część krótkiego dnia jesiennego pochłonęło oczekiwanie rozpoczęcia gonu, na który to cel spędzono około 30 huczków.

Przyszli nareszcie goście z leśniczówki wraz z swym gospodarzem. Po oczach leśniczego poznałem, że zgłupiał na tak niespodziewanie liczny zastęp myśliwych. Nie dał jednak poznać po sobie niemiłego uczucia, tylko, jak prawdziwy Polak, począł nas zapraszać na przyniesione aż do lasu śniadanie, które, aczkolwiek dość obfite, prosiło się Chrystusowego cudu pomnożenia chleba i ryb...

Las, w którym polować mieliśmy, był stosunkowo do liczby myśliwych, niewielki. Przy zajmowaniu stanowisk okazało się, że potrzebaby albo knieję rozszerzyć, lub ująć myśliwych — bo, zbyt gęsto rozstawieni, strzelaliby conajmniej do nóg swoich sąsiadów.

Trzepałkowski i tu począł komenderować. Tych i owych ze swojej kompanii porozstawiał wedle swego widzimisię. W końcu mówi mnie i trzem jeszcze towarzyszom, którym brakło już miejsca:

— Wiecie panowie co? Ja znam te lasy, polowałem tutaj nie raz, nie sto razy! My sobie pójdziemy w inną stronę, ku samej granicy lasu. Jest tam łączka, stanowiąca właściwe rozgraniczenie lasów, tam staniemy i co się przebije przez nagonkę, będziemy strzelali.

Idziemy więc — a właściwie drzemy się przez gąszcze, bo Trzepałkowski zbłądził po drodze. Już nagonka poczęła odzywać się: A hu, a hu! a my jeszcze jak opętańcy błądzimy po gąszczach. Nareszcie: „Ot, łączka!“ — zawołał Trzepałkowski z tryumfem.

Zajmujemy tedy stanowiska i czekamy.

Jak długo było tego czekania, nie wiem. Dość, że odgłosy huczków czemraz słabiej nas dolatywały, a nawet z początku dość gęsta palba ucichła zupełnie. A tu dzień ma się ku schyłkowi, i prawdziwie jesienny, zimny, niegwałtowny, ale gęsty począł padać deszczyk.

— Czekać jeszcze! — zawyrokował Trzepałkowski — może co wyjdzie.

Nic nie wyszło, a tu mrok zupełny. I my przemokli prawie do nitki.

— Wracajmy — mówię. — Panie Trzepałkowski, znasz pan las, więc nas prowadź ku leśniczówce.

Pokazało się, że Trzepałkowski polował tu przed trzydziestu laty.

— Prowadź nas — powtarzam.

— Dalibóg, nie znam drogi — odpowiada.

— A żeby cię...

Pochód nocny, po całym dniu umęczenia, śmiało mogę nazwać pochodem po cierniach. Idziemy gęsiego, utykamy co chwila. Naraz wołam:

— Stać!

Zdawało mi się, że słyszę głos jakiś, podobny do nawoływania. Może za nami wysłano posłańca z leśniczówki. Ale niestety, snać mi się przesłyszało. Ruszamy tedy dalej, a tu aż dwa naraz słychać głosy jakieś, tym razem podobne do „stawiania“ gończaków.

— Słyszycie — mówię, — to jakby psy goniły.

— E, nie! — odpowiada naiwnie Trzepałkowski — to buty moje przemokły i taki głos wydają.

Mimo złych humorów, parsknęliśmy śmiechem na podobne *qui pro quo*.

Nareszcie, po dłuższym pochodzie, ujrzeliśmy przez rzadki las błyszczące w oddali światełko.

— A co, nie mówiłem, że wieś będzie — przechwalał się Trzepałkowski, choć przedtem ani słówkiem o tem nie wspominał.

Po kilku karambolach o drzewa, których po ciemku, zapatrzeni w zbawcze światełko, nie spostrzegliśmy, doszliśmy aż do owego światła. Błyszczało z okienka pojedynczo stojącej chaty leśnego.

Zaglądam do okna — na środku izby stoi ludzka postać. Słuszna wzrostem, brudna, rozczochrana i brzydka jak noc.

Skoro spostrzegła twarz moją brodatą w okienku, mimo całej swej atletycznej budowy, poczęła krzyczeć wniebogłosy, w czem jej gromada dzieci pomagała.

— Kobieto! — mówię — zbłądziliśmy w lesie...

Nic to nie pomogło, baba co tchu pobiegła ku drzwiom chaty i zaszczepnęła je.

— Miła perspektywa — mówię. — Co tu począć? Deszcz leje jak z cebra, chłód i głód.

Poczęliśmy wreszcie paktować z tym rodzajem dowódcy twierdzy w spodnicy. Nadaremnie, drzwi chaty i szerokich jej ust pozostały zamknięte.

— Nie ma innej rady — mówię — tylko bodaj do sieni się dostańmy. Drzwi sieni były jednak zamknięte. Znałem wszakże konstrukcyę prymitywnych zamków, a względnie zasów drewnianych u drzwi chłopskich, więc po dłuższem manipulowaniu nożem myśliwskim, udało mi się otworzyć je.

W świetlicy groza zamknęła usta jej mieszkańcom. Byli pewni, że rabusie dobrali się do dobytku krowy i trzech kóz, które mieściły się w sieni.

Wygodniś pan G... miał zwyczaj nie puszczać się nigdy na polowanie bez sutego zapasu przekąsek, napitku i — grubej świecy milowej.

Jakże się nam to przydało!

Zapaliwszy świecę i spożywszy dary boże, poczęliśmy się oglądać za legowiskami. Przycupnął, gdzie który mógł. Trzepałkowski ulokował się, z obawy przed wilgocią glinianej podłogi, na snozach stępy, z której po wyjęciu „stępora“ rodzaju młota, którym się tłucze proso lub jęczmień, zrobiło się legowisko nie tyle wygodne, ile suche.

Uciszyło się, poczęliśmy drzemać.

Naraz, słyszymy przeraźliwy krzyk. Co żywo zapalam świecę. I cóż spostrzegam? Oto Trzepałkowski leży rozciągnięty na ziemi, tuż przy miejscu, gdzie kozy miały swe stanowisko. Wyjaśniło się. Trzepałkowskiemu niewygodnie i za twardo było leżeć na stępie; toż, opuściwszy miejsce, na czworakach łażąc, omackiem począł szukać wygodniejszego miejsca. Widząc to koza, poczęstowała go potężnym razem swego twardego czoła, a snać i rożkami, bo Trzepałkowski powrotną naszą podróż do Lwowa odbył stojąc w wagonie...

Nemezys pomściła nas dostatecznie. Drugiego dnia, zostawiwszy babie kilka guldenów za strach wyrządzony, przez jej męża, leśnego, który aż nadedniem do domu powrócił, zaprowadzeni do jakiejś wsi, najàwszy podwodę, nie pokazawszy się nawet gospodarzowi polowania, który nas na nie nie zaprasza — najbliższym pociągiem do Lwowa powróciliśmy.

Sens moralny z tego zdarzenia: „Nie jedź na polowanie, zaproszony na nie przez znajomego w X potędze.“

Z obcych światów.

III.

Wycieczka myśliwska w Turkestanie.

Wedle opisu, zamieszczonego w wydawanej po rosyjsku „Gazecie turkestańskiej“, podajemy tu relacyę jednego z tamtejszych myśliwych:

„Południowe prowincye Rosyi, podobnie jak jej posiadłości środkowo-azyatyckie, obfitują w dziki, którym sprzyja tu klimat i niski stan kultury rolniczej.

Powziąłem zamiar zapolować na nie w tutejszych górach, w ciągu tej zimy. Wywołałem tem zdziwienie i niedowierzanie mych przyjaciół, gdyż pora zimowa, odznaczaczająca się tu i srogiemi mrozami i częstemi zadymkami, może szkodzić zdrowiu, a nawet życiu wprost zagraża.

Mimo to przyjąłem zaproszenie jednego z mych przyjaciół, mieszkającego w okolicy miasta Taszkentu, i udałem się we dwójkę na kilkudniowe łowy w samą wilię Bożego Narodzenia, d. 24. grudnia.

Choć to był dzień pogodny, a mróz nie sięgał nawet 10 stopni, wzięliśmy przecież wszystko, co nas mogło przed srogością zimy zabezpieczać: wełniane kaftaniki, filcowe buty, futra i t. p.

Saneczkami, zaprzężonemi w parę szybkonogich rysaków, po drodze pysznie utartej, przybyliśmy wkrótce do wsi Toj-Czube, dwie stacye pocztowe od Taszkentu na drodze ku Chodżentowi. Mimo pozapadanych mostów i rzek, które nam w drodze mijać wypadało, przebyliśmy tę przestrzeń w dwóch godzinach.

Podczas, gdy nasze konie popasały, a my się nieco ogrzali i odpoczęli, wzmógł się mróz do 15 stopni. A zimno nagich stepów tutejszych bardziej się daje we znaki, niż np. w okolicach lesistych.

Ruszyliśmy dalej. Zaczęło zmierzchać, a mróz stawał się coraz dokuczliwszym. Kuliliśmy się, coraz bardziej znikał nasz kawalerski rezon, i pokrzepiała nas jedynie nadzieja obfitych łupów myśliwskich.

Skostnieli od zimna, ujrzeliśmy w końcu — a było to około 8. godziny wieczorem — jakieś światło. Wkrótce pojawiła się też wieś It-Kiszlak, tj. tłumacząc dosłownie „psia wieś“. Jest ona przeważnie tylko w porze zimowej przez Kirgizów zamieszkała i liczy około dwudziestu pięciu chat.

Mogło być około 9., gdyśmy do „psiej wsi“ zajechali. Towarzysz mój wyskoczył ze sanek, ażeby gospodarza karawanseraju, tj. miejscowej gospody, rozbudzić.

Pomimo naszej ciepłej odzieży i kilku szklanek gorącej herbaty, byliśmy przecież tak skostniali, żeśmy się zaraz do snu pokładli, nakrywając się wszystkiem, cośmy tylko mieli ze sobą. Ciężki, letargiczny sen czterogodzinny pokrzepił nas do dalszej podróży.

Zbudziwszy się nad ranem, zabraliśmy się z wilczym apetytem do „kurdeku“, tj. rodzaju gulaszu z drobnych kawałków baraniny, duszonej z cebulą na baranim tłuszczu, który nam nasz gospodarz, w czasie gdyśmy spali, sporządził. Kilka szklanek herbaty uzupełniły to wyborne śniadanie. Gdy jednak konie były jeszcze nie dość wypoczęte, przespaliśmy jeszcze parę godzin, dopóki nie rozedniało i dopiero o godz. 9. ruszyliśmy w dalszą drogę.

Okolica stawała się coraz bardziej górzystą, a około godz. 10. w nocy dotarliśmy do wsi Albik, gdzie przewodnik nasz miał wielu przyjaciół i znajomych. Tu więc przepędziliśmy noc wygodniej, nawet z pewnym komfortem.

Miejscowość Albik była za czasu chanów ufortyfikowaną, a nawet stanowiła stolicę jednego z udzielnych begów. Jeszcze dotychczas otoczona jest charakterystycznym zębatym murem glinianym o dwóch dużych, niezgrabnych wieżach ze strzelnicami. W okręgu pięćdziesięciu wiorst naokoło jest to jedyny bazar dla Tadżyńców i Usbeków, którzy okolicę tę zamieszkują.

Następnego dnia — było to 26. grudnia — wyruszyliśmy ku parowom górskim Karabak-Soi, gdzie wedle twierdzenia krajowców wiele dzików zwykło przebywać. Tutaj zetknęliśmy się jeszcze z pięciu myśliwymi, czterma Usbekami i jednym Rosjaninem, który miał ze sobą siedm psów i znał wybornie całą okolicę.

Parowy Karabak-Soi rozpoczynają się o cztery wiorsty od Albiku. W lecie żerują dziki w wyższych partyach górskich, pod zimę wszakże spuszczają się ku dołom, a w czasie mroźnych i śnieżnych miesięcy, polują na zapasy zboża Usbeków, którzy zsypują ziarno w doły lejkowate w ziemi, a choć je płytami i murawą przykrywają, przecież nie zabezpiecza ich to dostatecznie przed ryjem i szablami dzików.

Gorącemu pragnieniu naszemu, ażeby już dnia tego łowy rozpocząć, nie stało się zadość, nastała bowiem taka śnieżyca, że o trzy kroki nie było nic widać. Z wielką trudnością zdołaliśmy jedynie dotrzeć do „aułu“ górskiego, położonego o ośm wiorst w głębi gór. Był on na noclegi w czasie łowów obrany.

Noc przebyta w tym „aule“ pozostanie mi na zawsze w pamięci. Schroniskiem naszem była chata z chrustu pleciona i gliną wałkowana. Wicher mroźny hulał po niej swobodnie. Leżeliśmy na gołej ziemi, dym z rozniecone go w pośrodku ogniska gryzł oczy i zapierał oddech, a podczas gdy zwrócona ku ognisku strona ciała rozpiekała się, przeciwna marzła od mroźnego wichru. Nareszcie dokuczały nam pchły i inne plugawe owady, nie dozwalając zmróżyć oka.

Lecz zabłysnął w końcu wyczekiwany z upragnieniem poranek, który nas od tych tortur uwolnił. Pozostawiwszy część naszego pakunku w „aule“, ruszyliśmy głębiej w góry.

Grzęznąc po kostki w suchym, sypkim śniegu, wspinaliśmy się z trudnością pod górę. Gdzie można było przez rozpadliny górskie dalej okiem sięgnąć, widzieliśmy horyzont otulony ciemno-niebieskiemi mgłami, przez które przeświecały jak złote gwiazdy szczyty dalszych gór, oświeconych porannem słońcem.

Wedle ułożonego naprzód programu mieli Usbekowie wraz z swemi psami pełnić rolę nagonki. Uzbrojenie nasze było bardzo rozmaite. Ja np. miałem karabin kawaleryjski systemu Berdana i dubeltówkę gładką do śrótu, towarzysz mój zbrojnym był w sztuciec angielski, inni strzelcy zaś mieli częścią pojedynki kapslowe, lub nawet flinty luntowe z widełkami do opierania, zwane przez krajowców „multunki“.

Zaledwieśmy uszli pół wiorsty od „aułu“, gdy dalszy pochód z powodu zbyt głębokiego śniegu okazywał się wprost niemożliwym. Radziliśmy sobie w ten sposób, żeśmy wysłali przodem jednego z Usbeków, który z długim drążkiem w ręku posuwał się naprzód i szerokiemi butami swojemi ugniatał w śniegach wąską drożynę. Tą ścieżeczką dopiero, wspierając się na improwizowanych laskach górskich, szliśmy naprzód. Śnieg sięgał nam w niektórych miejscach aż do pasa.

Po przebyciu wiorsty tak uciążliwej drogi, dotarliśmy wreszcie do karłowatego lasu, w którym już było znacznie mniej śniegu, a na nim spostrzegliśmy niebawem trop dzików. Tu zatem podzieliliśmy się na dwie partye, dawszy sobie *rendez-vous* na noc w „aule“.

Psy Usbeków rzuciły się natychmiast za tropem i już w odległości stu kroków ruszyliśmy całe stado, które spoczywało w szerokiej rozpadlinie skalistej.

Jednej chwili i w nas i w psy wstąpił ogień; razem z naganiaczami utworzyliśmy jedno koło. Dziki, spłoszone niespodziewanym napadem psów, rozbryznęły się w najrozmaitszych kierunkach; za każdym sadził pies, starając się go to za uszy, to za szynki pochwycić i w biegu powstrzymać. Dwie maciory i dwa wycinki padły od strzałów, inne się wymknęły dzięki naszemu nędznemu uzbrojeniu. Wprawdzie psy siedziały im ciągle na karku, lecz trzeba je było odwołać, bo krótki dzień zimowy miał się już ku schyłkowi.

Położywszy naszą zdobycz na rodzaj sanic, utworzonych z gałęzi i drążków, spuszczaliśmy się już znacznie prędzej na dół ku naszemu „aułowi“. Po drodze ubiliśmy jeszcze dwa lisy przed psami i zauważyliśmy wiele świeżych tropów wilczych.

Zadowoleni wynikiem naszych łowów, postanowiliśmy jeszcze, wskutek doradzania Usbeków, spróbować w ciągu nocy samołówki na dziki, wedle metody, którą tu praktykują. W tym celu, wybrawszy niedaleko „aułu“ miejscowość tuż obok dołu z zapasami zboża, wbiliśmy przez śnieg w ziemię kilka grubych, do trzech stóp nad ziemię wystających kołów. Na dwóch kołach przywiązano strzelby w ten sposób, że wyloty luf skierowane były ku środkowemu punktowi otoczonej kołami przestrzeni. Języczki od kurków połączono wyszpanowanym sznurkiem tak, że sznurek ów przechodził następnie dołem od koła do koła i w razie przemykania się zwierzęcia pomiędzy kołami musiał być przez nie potrąconym. Nieco ziarna, posypanego w pośrodku na przynętę, uzupełniło samołówkę.

Sztuka udała się, gdyż w ciągu nocy usłyszeliśmy wystrzał, a rano można się było przekonać, że łakomy dzik padł ofiarą podstępu. Chociaż trafiony i mocno farbujący, zdołał jednak ujść do lasu. Puściliśmy psy za farbą i wkrótce stary, duży odyniec, osłabiony znacznym krwi upływem, wpadł nam w ręce.

Resztę dnia spędziliśmy przy ognisku w „aule“, posilając się naszemi zapasami żywności i ognistym ponczem. Słuchaliśmy przytem ciekawych opowiadań Usbeków o ich przygodach myśliwskich. W ciągu tego wypatroszono ubito

zwierzynę, obielono ją i poćwiartowano, aby ułatwić dalszy transport.

Dzik turkestański jest mniejszym od europejskiego i ma suknię jasną szaro-rudawej barwy. Pięcio- do ośmioletni odyniec dochodzi najwyżej 8—10 pudów (160 do 200 kl.) wagi; dzik dwunasto-pudowy należy już do wielkich rzadkości, podczas gdy europejskie stare, należycie wyrośnięte i sadliste dziki, nawet do 20 pudów wagi dochodzą. Mięso starych odyńców jest bardzo twarde i łykowate, wprost nieprzydatno do spożycia. W Perowsku chwytają żywcem młode paciuki, podkarmiają je jakiś czas w chlewach i biją. Mięso ich staje się wyborne, kruche i smaczne.

Lisy, któreśmy ubili, miały sierć szarawo-żółtą. Krajowcy nazywają tu lisa „tulke“. Nie jest on rzadkością w tutejszych górskich okolicach, a Kirgizy i Usbeki chętnie na niego polują. Tłuszcz lisi jest cennym artykułem handlu pomiędzy krajowcami.

Przewodnicy nasi radzili nam, ażebyśmy, wracając, zaglądnęli jeszcze do wsi Tetan, odległej o 40 wiorst, gdyż są tam opary, na których zimują dzikie gęsi i kaczki. Posłuchaliśmy tej rady.

W jednej wsi, którąśmy mijali, zwrócił naszą uwagę cały tłum krajowców, cisnących się na środku drogi około jakiegoś przedmiotu.

Ciekawością wiedzeni, wysiedliśmy z sanek i ujrzeliśmy siedzącego na ziemi na pół nagiego człowieka, który, postawiwszy przed sobą swą śpiczastą czapkę, toczył z nią rozhowory przeplatane krzykami i żywemi gestami; wreszcie porwał czapkę, tulił ją do piersi, a łzy rozrzewnienia spływały mu po policzkach.

Był to biedny obłąkaniec, jak wszyscy obłąkańcy na Wschodzie otaczany szacunkiem i opieką krajowców, którzy mu się ze współczuciem przyglądali i nie szczędzili jałmużny.

Znużeni drogą, postanowiliśmy we wiosce tej przenocować. Zresztą zapadał już wieczór. Zapasy nasze stopniały znacznie; została nam tylko herbata i suchary, lecz i to wystarczyło na pokrzepienie, a smaczny sen wzmocnił nas do reszty. Nad ranem zaopatrzyliśmy się w patrony z kaczym śrótem i puściliśmy się pieszo ku odległym o dwie wiorsty oparom, które według zgodnego twierdzenia mieszkańców nawet w czasie najtwardszych mrozów nie zamarzały i służyły tysiącom gęsi i kaczek za stałe schronisko.

Nadzieja obfitego połowu spełzła jednak na niczem, gdyż ptactwo, ujrzawszy nas zdaleka, zbliżających się ku wodzie, wzniosło się całą chmurą w powietrze i znikło. Doświadczeni krajowcy radzili nam zaczekać do wieczora.

Zaraz po zachodzie słońca przybyliśmy więc znowu nad wodę. Nie było na niej żadnego ptaka. Usbekowie nałamali lodu i z płyt lodowych utworzyli nam rodzaj zasłony na 20 kroków od wolnego zwierciadła wody. Pomiędzy płytami było dość miejsca na lufy od strzelby.

Za tym to murem lodowym, przy 20. stopniach mrozu, skuleni i zziębnięci, czatowaliśmy na zdobycz. Księżyc świecił tak jasno, że było niemal widno jak w dzień. Wkrótce zaszumiało na powierzchni wody; zapadła niezliczona ilość gęsi i kaczek, przybywająca z krzykiem i gęganiem na spoczynek nocny.

Rozpoczęła się palba. Po pierwszych strzałach wzniosła się cała chmura w powietrze, krążyła kilka minut lecz zapadła znowu na wodę. Wtedy odezwały się dalsze strzały. Powtarzało się to przez parę godzin. Nareszcie przemarznięci do kości, nie mogąc już dostać na miejscu, ruszyliśmy ku wsi i to w pełnym biegu, ażeby się nieco rozgrzać. Zebraniem ubitego ptactwa zajęli się Usbekowie. Pokazało się, żeśmy ubili 32 dzikich gęsi i mnóstwo kaczek, nie licząc oczywiście tych sztuk, które, ranione w locie, gdzieś dalej pozapadały.

Lecz był już najwyższy czas, ażeby wracać do Taszkentu. Zaprzężono więc konie i ruszyliśmy z kopyta.

W połowie drogi zatrzymał się nagle nasz automedon, chwycił za strzelbę i pobiegł przez zawianą śniegiem równinę. Za jedną z zasp śnieżnych przycupnął i strzelił kilka razy. Cóż to było? Oto duże stado kuropatw górskich *(Perdix chukar)*, które tam i nazad przelatywały. Nawet i nam udało się z sanek 4 sztuki ubić.

Kuropatwa ta zapadłszy na miękki śnieg, z trudnością tylko może się wznieść do lotu. Krajowcy zowią tego ptaka „kaklik“. Jest on w środkowej Azyi bardzo pospolitym i bywa na targach za bezcen sprzedawany. Chwytane żywcem młode kogutki zaprawia ludność tutejsza do walk kogucich, które stanowią jedną z najmilszych jej rozrywek.

„Kaklik“ podobny jest w części do kuropatwy europejskiej; ma jednak czerwony dziób, czerwone nogi i czerwone obwódki około oczu. Podobno pojawiał się on ostatniemi czasy w Niemczech i w prowincyach nadbałtyckich.

Gdyśmy wjeżdżali do Taszkentu, świeciły się już latarnie na ulicach. Powrót do ciepłego i wygodnego mieszkanka był nam bardzo miły.

KORESPONDENCYE.

Lwów w maju 1889.

(Niedola zimowa.)

Wszystko co żyje w polu i w lesie, ciężką przebywa niedolę w zimowej porze. A gdy śniegi jak w przeszłym i w tym roku na kila stóp grubą warstwą pokryją ziemię — to już bieda nie do opisania. Mniejsza o chłód, bo matka przyroda, odziewając zwierzęta w ciepłe szaty zimowe, zabezpieczyła je od srogości mrozów. A wreszcie do wszystkiego przywyknąć można — zatem i do zmian klimatycznych; tem bardziej zwierzęta dzikie, które od wczesnej młodości na wolnem powietrzu przebywając, nauczyły się znosić wszelką biedę wytrwale. Ale najgorszy głód. Śniegi zwaliły ogromne, do zeschłej trawy, zielonej oziminy ani się dogrzebać. A tu głód doskwiera. W ostateczności sarna, zając, ogryzają korę z drzew, niekiedy aż do sadów podchodząc, gdzie w młodych szczepach wielkie czynią spustoszenia. Nawet szkółki leśne i młode zagajenia znacznie cierpią od

głodnych sarn a nawet zajęcy. Nie dziwić się; zmusza do tego ostateczność.

Gdzie jeszcze znajduje się człowiek czulszy na tę ich biedę, a podda siana, owsa w snopach, koniczyny l. t. p., to lżej znosić zwierzynie niedolę zimową. Gdzie jednak nie w zwyczaju poddawać żer, to już straszna bieda. Co młode a wątłe — ginie. Starsze i silniejsze, mocno schudzone wychodzi z tej walki z żywiołami. Słowem, zwierzostan niemal zdziesiątkowanym bywa przez śniegi, bo schudzonym i głodnym brak w końcu wewnętrznego ciepła i ulegają srogości mrozu. Giną także od różnego rodzaju nożnych i skrzydlatych drapieżców, bo po kilkudniowym w zawieruchę poście braknie sił do ucieczki i obrony.

Sarny kotne najczęściej po takich zimach niedonaszają płodu, a gdy go prawidłowo na świat wydadzą, to taki wątły, że najczęściej ginie wcześnie z braku sił żywotnych.

Młode zające „marczaki", które już około 10 marca na świat przyszły, wszystkie bez wyjątku giną od mrozu. Kto ciekawy, niech przepatrzy obornik w małe, lub wielkie kupy na polach ułożony, a wnet ujrzy pod lekkiem przykryciem mierzwianem, którem je matka przykryła, młode zajączki, niestety, martwe najczęściej. Bo zajęczyce mało dbają o swe dzieci. Prawdziwe lafiryndy, kokotki, którym w głowie bal, lub zabawa, a nie dola dzieci. Zajęczyca zaledwie dwa tygodnie po dwa razy dziennie dzieci swe odwidza. Dawszy possać, rusza na igry z „gachami". Skoro tylko młode zajączki nieco się odessały, porzuca je najobojętniej. Gdy wiosna wczesna a ciepła, że gdzieniegdzie trawka wystrzeli, i ozimina się zazieleni, to biedne zajączęta wychodzą zwycięsko. W tym jednak roku marcowy pomiot zajęczy został stracony.

Kuropatwom zima tegoroczna niemniej srogo dała się we znaki. A wszystkiemu temu winny ogromne śniegi. Stadka kuropatw, w ciągłej w czasie dnia wędrówce, szukają, czy gdzie wiatry nie zdmuchały śniegu, żeby spaść na te miejsca i pożywić się byle czem: ziarnkiem pozostałem w ścierni, chwastami po miedzach rosnącemi. Lecz nie było widać „zedmisk" — wszędzie biało i biało. A tu na karkach siedzą jastrzębie, co chwila porywając ze stada ofiary. Ot, bieda w dzień, i w nocy bieda. Stadko zapadło o zmroku w skraju lasu, w miedzy podszytej lub remizie. Stuliwszy się do kupki dla ciepła, poczynają drzemać. Naraz, lis niecnota, cichaczem, prawdziwie po złodziejsku się podkradłszy, chwyta jednę z towarzyszek. Reszta z krzykiem rozlatuje się na wsze stoony. Przyrodzona ślepota po zajściu słońca nie dozwala rozpierzchłemu stadu zazaz się zgromadzić. Każda sztuka z osobna zapada, a raczej upada znużona lotem, często na dalekiej jedna od drugiej przestrzeni, i czeka świtu, żeby się zwabić i znowu w stadko zgromadzić. Nie łatwa to jednak rzecz, gdy reszta towarzyszek Bóg wie, kędy się rozpierzchła. A tu i owdzie krążą w powietrzu bystrookie jastrzębie. Skoro tylko spostrzegą przytuloną kuropatwę, jak błyskawica spadają na nia, lub gdy do lotu się poderwie, chwytają w powietrzu. Taka to dola zwierząt dzikich, na powierzchni ziemi żyjących.

Nie lepsza, a może i gorsza dola borsuka. Ciepło mu i zacisznie w norze — w dodatku stracił samowiedzę, spi snem twardym -- cóż go obchodzą burze na powierzchni ziemi szalejące? Zapewne, wiele rzeczy go nie dotknie, jeżeli zima prawidłowo czyli po kalendarsku zaczęła się 21. grudnia, a skończyła 20. marca. Lecz jeżeli, jak w tym roku, zima na dobre poczęła się w październiku, a przeciągnęła się aż do połowy kwietnia?

Borsuk nie ma stałych reguł co się tyczy układania się do snu zimowego i budzenia się z tegoż. Skoro tylko ziemia zamarzła i trudno w niej grzebać za owadami, które równie głęboko w ziemi do snu zimowego się ułożyły, gdy nawet i myszy z zamarzniętej ziemi wygrzebać niesposób, układa się borsuk w swej norze i zasypia aż do przyszłej wiosny, nie wedle rachuby kalendarza, ale do prawdziwej wiosny bez śniegu i mrozu, gdy już i owad zbudzony wypełza na powierzchnię ziemi i o zasklepionego ślimaka pod mchem ukrytego nie trudno. Wtedy dopiero budzi się borsuk ze snu zimowego i na powierzchnię ziemi na żer wyłazi.

Twierdzeniu niektórych przyrodników, między nimi i znakomitego Brehma stanowczo zaprzeczam, ażeby ruja borsuków przypadała w listopadzie, tj. właśnie w porze układania się do snu zimowego. Cóżby się stało z płodem, gdy matka w kilkomiesięcznym śnie letargicznym pogrążona? Musiałaby natychmiastowo lub śmierć matki, lub pomiot nieżywego płodu nastąpić.

Ja badałem życie borsuka niejednokrotnie w naturze i stanowczo rui przedsennej borsuka się sprzeciwiam. Ruja borsuka odbywa się w kwietniu, a pomiot płodu w czerwcu lub pierwszej połowie lipca.

Stałych prawideł do rozpoczęcia snu, jak i budzenia się z tegoż, nie ma. Sam widywałem borsuki nawet z końcem listopada, skoro tenże był ciepły i w żer: myszy, chrząszcze, żuki, pędraki, dżdżownice i inne owady obfity. Przeciwnie były lata, że już w październiku chwytały mrozy i spadał śnieg, a wtedy borsuków nigdzie nie napotykano, bo ułożyły już do snu zimowego.

Przyrodnicy każą borsukowi samicy wstawać ze snu zimowego dla porodu w lutym i marcu i potem na żer wyruszać. A gdy kalendarska rachuba omyli i wiosna dopiero w pierwszej połowie kwietnia śniegi stopi i świat owadzi do życia obudzi, czemże borsuk ma się żywić? Jak długo spi, żyje kosztem tłuszczu, w jaki się w lecie zaopatrzył. Nic więcej nie potrzebuje. Ale gdy się obudził, musi mieć pożywienie. A zkąd go wziąć, gdy cała przyroda jeszcze w śnie zimowym pogrążona? Mądra przyroda nie popełnia niedorzeczeństw. Nie zakreśliła borsukowi nieodmiennego terminu zaśnięcia i przebudzenia, albowiem musiałaby nieodmiennie ustanowić termin pór roku, co jak nam wiadomo, mnogim ulega zmianom. Raz poczyna się wiosna wcześniej, to znowu później. Częstokroć do połowy kwietnia zalegają jeszcze śniegi. Dla zwierząt, jak borsuk, jeż, równie snem zimowym zasypiający, podobne przedwczesne przebudzenie się byłoby śmiercią. Opóźniona wiosna bardzo niekorzystnie wpływa na organizm borsuka. Biedny jaźwiec po przebytym śnie zimowym, wychudły bywa jak szczypa, a tem bardziej, jeśli sen skutkiem spóźnienia wiosny się przedłużył. Wtedy strasznie wygląda. Podobny do słabo poruszającego się kościotrupa, powleczonego najeżoną skórą.

Nigdy nie zapomnę dwu podobnych mizeraków, gdy, około 12. kwietnia, zapewne w nocy na żer z nory wylazłszy, tak były osłabione, że je o paręset kroków od jamy w krzakach na dniu jasnym napotkałem. Widocznie, mimo wstrętu, jaki czują do światła słonecznego, skutkiem osłabienia nie zdołały dojść do nory. Gdy je kijem poruszałem, nie uciekały i nie broniły się, tak były osłabione. Borsuki przezemnie napotkane były stare, lecz skutkiem wielkiego ubytku ciała, małych rozmiarów.

Jednostajnie mroźna i śnieżna zima jest łaskawszą dla niedźwiedzi. I one śpią w swych gawrach, chociaż nie tak twardo jak borsuki. Później do snu się układają, bo jak długo zdołają, szukają za żerem. Gdy o zdobycz w lesie

trudno, odwiedzają mieszkania ludzkie, chlewy, owczarnie, lub stajnie rozwalają i porywają trzodę. W miarę postępu zimy, gdy mrozy się wzmagają, śniegi spadną — napada je senność. Układają się w „gawrach“, w pieczarze skalnej lub na kupie łomu i zasypiają — aż je ktoś przypadkiem, lub cieplejsza pora wiosenna zbudzi.

Aleksander Ubysz.

Gródek d. 14. maja 1889.

(Nowe Towarzystwo.)

W roku zeszłym zawiązało się u nas Towarzystwo myśliwskie na mocy statutów, przez c. k. namiestnictwo we Lwowie reskryptem z dnia 10. grudnia 1888. l. 73719 potwierdzonych.

Prezesem tego Towarzystwa jest znany z swej energii i zamiłowania myśliwstwa p. Adolf Henze, c. k. notaryusz, zastępcą Maryan Mayer, c. k. adjunkt sądowy. Celem Towarzystwa jest ochrona zwierzyny i położenie tamy grasującemu w tutejszym powiecie w straszliwy sposób kłusownictwu.

Towarzystwo nasze, liczące dotychczas tylko 10 członków, dzierżawi w pięciu gminach prawo polowania, tj. na obszarze około 7.000 morgów, z tych do 300 morgów lasu w jednym kompleksie. Prócz grasującego kłusownictwa, jest jeszcze jedna plaga, z którą Towarzystwo zawzięcie walczy, a tą są lisy, które w tutejszej okolicy, a osobliwie w ościennych lasach, do Towarzystwa nie należących, tak się rozmnożyły, że na odbytych polowaniach zabijano o połowę więcej lisów, niż zajęcy. *Alojzy Rosołowski.*

Warszawa d. 19. maja 1889.

(Z Towarzystwa myśliwskiego.)

Wczoraj odbyło się posiedzenie Rady warszawskiego Oddziału ces. Towarzystwa racyonalnego myśliwstwa, który, jak wam wiadomo, w ubiegłym miesiącu się ukonstytuował. Obradom przewodniczył prezes Oddziału jen.-lejtn. Sidorow, a przedmiotem obrad było:

1. Roztrząśnięcie przygotowanych przez puł. Małychina wniosków, dotyczących przysłanego przez główne Towarzystwo projektu nowych przepisów o polowaniu w cesarstwie, z podziałem gubernij na grupy stosownie do klimatu.

2. Wygotowanie projektu zmian w przepisach o polowaniu i prawach posiadania broni, zatwierdzonych w r 1871. dla Królestwa Polskiego, odpowiednio do okoliczności miejscowych i tak koniecznej ochrony zwierzyny.

3. Rozpatrzenie i przyjęcie przygotowanych przez pana Śliwińskiego form kwitaryuszy i rachunkowości kasowej, po których wydrukowaniu członek Rady, a kasyer Towarzystwa, p. A. Rawicz, zostanie upoważniony do przyjmowania wkładek od członków.

Następne posiedzenie Rady odbędzie się jeszcze przed końcem b. m., zebranie ogólne zaś nastąpi za 2 lub 3 tygodnie. Na tem zebraniu będą już balotowani wszyscy członkowie, którzy w odpowiedzi na rozesłane listy z ustawą i broszurą zawiadomią własnoręcznie o chęci należenia do Towarzystwa. Potem dopiero ma być zwołane zgromadzenie ogólne z udziałem członków już balotowanych, celem roztrząsania spraw instytucyi.

W statucie centralnego Towarzystwa petersburskiego określonym jest w 1. paragrafie cel jak następuje:

„Towarzystwo ma na celu ułatwiać rozmnażanie się zwierzyny i pożytecznych zwierząt krajowych; skierować myśliwstwo w Rosyi na drogę racyonalną, pielęgnować zwierzęta pożyteczne, a tępić szkodliwe.“

Dalej rozwinięto ten cel w szeregu następujących postanowień:

„§. 15. Towarzystwo starać się będzie o ochronę i rozmnażanie wszystkich rodzajów zwierzyny i pożytecznych zwierząt, a w tym celu urządzi „ochronne miejsca“, tak na gruntach prywatnych właścicieli, z którymi Towarzystwo na zasadzie istniejących praw wchodzi w zobopólną umowę, jak i na przestrzeniach rządowych, jeżeli otrzyma takowe na cel powyższy.

§. 16. Dla strzeżenia miejsc ochronnych, Towarzystwo urządza w pewnych miejscach strażnice i utrzymuje przy nich niezbędną liczbę stróżów, którzy korzystają z prawa stróżów leśnych.

§. 17. Jeżeli zwiększenie się zwierzostanu w miejscach ochronnych dosięgnie pewnych granic wówczas Towarzystwo urządza polowania nadzwyczajne, na zasadzie oddzielnego w tym względzie postanowienia ogólnego zgromadzenia.

§. 18. Nadzór nad prawidłowem prowadzeniem ochrony zwierzostanu w miejscach ochronnych zostaje pod zawiadywaniem oddzielnego „Wydziału ochrony“, wybranego z grona członków Towarzystwa, którego obowiązkiem jest zwiedzanie w pewnych okresach czasu miejsc ochronnych, przedsiębranie odpowiednich środków dla rozmnażania zwierzostanu i zawiadamianie o wszystkiem szczegółowo Towarzystwa.

§. 19. Towarzystwo stara się czynnie o wytępianie zwierząt szkodliwych, a przeto urządza w tym celu oddzielne polowania, tak z własnej inicyatywy, jako też i na żądanie miejscowych mieszkańców, w razie jeśli żądanie takowe uzna Towarzystwo za słuszne i do wykonania możliwe.

§. 20. Niezależnie od wyżej wymienionych polowań, Towarzystwo urządza dla swoich członków polowania zwyczajne (sportowe).

§. 21. Polowaniami zarządza oddzielny „Wydział polowań“, także wybierany z członków Towarzystwa.

§. 22. Towarzystwo urządza zwierzyniec, w którym utrzymuje żywe okazy, przeważnie krajowych gatunków, tak pożytecznych jak i szkodliwych zwierząt.

§. 23. Ze zwierząt domowych ma być utrzymywaną tylko kolekcya psów myśliwskich rasowych, już to w formie wystawy stałej, lub też nabytych na własność Towarzystwa.

§. 24. Przy zwierzyńcu może być urządzoną lecznica dla psów.

§. 25. Towarzystwo urządzić może muzeum przedmiotów, mających związek z łowiectwem i polowaniem, w którem ma się znajdować kolekcya broni łowieckiej i myśliwskiej, przyrządów, kostiumów i rzeczy, dotyczących polowań i myśliwstwa, kolekcya zwierząt pożytecznych i zwierzyny, przedstawionych, o ile można, w grupach artystycznych; grupy, obrazy i rysunki polowań, produkta pierwotne polowań przemysłowych; mapy rozpowszechnienia zwierzyny i pożytecznych zwierząt, a także mapy dróg zbytu produktów przemysłu łowieckiego, tablice statystyczne i t. p.

§. 26. Przy muzeum może być założoną biblioteka, złożona z dzieł, dotyczących różnych gałęzi przemysłu łowieckiego i polowań. Biblioteka podlega ogólnym w tym przedmiocie wydanym przepisom.

§. 27. Zwierzyniec, muzeum i biblioteka pozostają pod zawiadywaniem odzielnego Wydziału Towarzystwa.

§. 28. Towarzystwo urządzi w zwierzyńcu strzelnicę wzorową.

§. 29. Towarzystwo wydaje prace swoje bądź w formie czasopisma peryodycznego, bądź też zeszytami pojedynczemi, w miarę nagromadzenia się materyałów, bez odzielnego na to pozwolenia.

§. 30. Towarzystwo urządza kantor dla stosunków handlowych z lepszymi puszkarzami i myśliwymi w celu sprowadzania broni i psów, i na żądanie sprzedających przyjmuje w komis ich towary, za wspólnem się porozumieniem.“

W dalszym ciągu postanowień zastrzeżono Towarzystwu prawo rozdawania medalów, prawo używania uniformu myśliwskiego tak dla członków Towarzystwa jak i służby tegoż.

„Majątek Towarzystwa powstaje: 1. z corocznych i jednorazowych wkładów jego członków; 2. z wpływów za bilety wejścia do jego instytucyi; 3. z wpływu otrzymanego za sprowadzenie i sprzedaż broni myśliwskiej, psów i t. p.; 4. z jednorazowych ofiar, tak członków, jak i miłośników, na korzyść Towarzystwa uczynionych.“

Oprócz statutów wydał pułk. Małychin broszurę, kreślącą dzisiejszy stan myśliwstwa w Królestwie i rozbierającą motywa i potrzebę odrębnego dla Królestwa Oddziału Towarzystwa myśliwskiego.

„Obecnie — mówi p. Małychin — w mało tylko zaludnionych obszarach cesarstwa jest obfitość przeróżnego zwierza, z powodu jednak braku większych miast i komunikacyi, myśliwstwo tam opłacać się nie może; w miejscowościach zaś przerżniętych linią kolei żelaznej lub mających ludne i bliskie rynki zbytu, w skutek niezachowywania przepisów o polowaniu, zauważyć można gwałtowne znikanie licznych przedtem rodzajów zwierzyny, a skargi na upadek myśliwstwa coraz częściej słyszeć się dają.

„Gubernie Królestwa polskiego przy stosunkowo większej liczbie mieszkańców i kulturze ziemi, przy urządzaniu lasów i porządkowaniu łąk, oraz rozwoju przemysłu fabrycznego i t. p., znacznie się różnią od takichże miejscowości w guberniach cesarstwa.

„W Królestwie polowania na przelotne ptactwo z każdym rokiem coraz mniej pomyślnemi się stają i wkrótce przejdą do podań, pozostawiając za to prawo bytu polowaniu na tego rodzaju zwierzynę, dla której kultura nie stawia żadnych przeszkód, ale owszem potęguje jej rozmnażanie w miarę swego rozwoju. Niedźwiedź, łoś, drop, głuszec, nie są wstanie zżyć się z kulturą, gdy tymczasem ta kultura stać się może prawdziwą opiekunką jelenia, sarny, zająca, kuropatwy, bażanta, a nawet cietrzewia i jarząbka. Powyższą zwierzynę zarówno można ochronić i rozmnożyć, jak i doszczętnie wytępić.“

„Nieprawne polowanie uprawia się w szerokim zakresie we wszystkich prawie miejscowościach kraju. Wobec prawa, zabraniającego wszelkich nocnych polowań, największa ilość zwierzyny wytępiana bywa w nocy, i ta to właśnie dostawia się na targi. Warszawskie rynki przepełnione są zwierzyną przeważnie bitą i łowioną przez kłusowników w nocnej porze. Większa ilość zajęcy, sprzedawanych po miastach, łapana jest na „wnyki“. Dosyć jest wyjść w czasie nocy w pierwszej lepszej miejscowości, w której lasy otoczone są włościańskiemi polami, aby usłyszeć w różnych stronach dziesiątki strzałów — jest to właśnie polowanie „na wychodnego“, praktykujące się przeważnie przez kolonistów i włościan, niemających ani prawa na posiadanie broni, ani też pozwolenia na prawo polowania. We wszystkich prawie powiatach odbiera policya setki nieprawnie a potajemnie posiadanej broni; nierównie jednakże więcej przechowywa się jej w kryjówkach, i ta służy do systematycznego tępienia wszystkiego, co tylko pod strzał podpadnie.

„W lasach rządowych tępienie zwierzyny i ptactwa odbywa się jeszcze na daleko większą skalę, aniżeli w prywatnych. I tak n. p. w niektórych miejscowościach Suwalskiej gubernii, jadąc przez las po śniegu, nie spotka się na przestrzeni kilkunastu wiorst ani jednego tropu.

„Pomimo prawa, wzbraniającego bezwarunkowo trzymania ogarów w leśnictwach rządowych, miejskich i instytutowych, bardzo wiele osób ze straży leśnej stale takowe trzyma i bezkarnie z niemi poluje.

„W pobliżu miast i dróg żelaznych grunta mieszczańskie i włościańskie bywają wydzierżawiane przez prywatne kółka myśliwych — ale co to za polowania i myśliwi? Dosyć jest w pierwszy lepszy dzień świąteczny udać się na którąkolwiek stacyę drogi żelaznej, aby zobaczyć gromadki „świątecznych myśliwych“, śpieszących rannym pociągiem do dzierżawionych miejscowości. Wieczornym zaś pociągiem wracają te towarzystwa, wioząc z tryumfem jednego zająca lub kuropatwę.

„Miejscowe władze, jakkolwiek najniższe w administracyjnej hierarchii zajmujące stanowisko, lecz najwięcej do ludności zbliżone, a więc faktycznie najwięcej mające wpływu, jako to: wójci, pisarze gminni, pisarze przy sądach gminnych, ławnicy, a nawet panowie sędziowie, nietylko niedopilnowują wykonywania przepisów o polowaniu, ale nawet, korzystając ze swego stanowiska, sami bardzo często przeciwko tym przepisom wykraczają — naturalnie bezkarnie.

„Jedną z najgorszych plag w kwestyi ochrony zwierzyny, oprócz łapania jej w sidła, jest istniejący u kolonistów i włościan zwyczaj brania z sobą w pole psów, które, zamiast pilnować domu — przez cały czas, dokąd ich właściciel pracuje w polu, biegając samopas, wyławiają młode zające, psują gniazda kuropatw i wszelkiego innego ptactwa.

„Jeżeli więc taki porządek rzeczy potrwałby dłużej, to myśliwstwo w krótkim czasie w Królestwie zupełnie by upadło. Potomkowie dzisiejszych myśliwych będą zaledwie wiedzieli z podań, że ich ojcowie i pradziadowie strzelali tu do sarn, zajęcy i kuropatw — tak samo, jak my wiemy obecnie o istniejących tu kiedyś niedźwiedziach i łosiach.

„A jednak, przy jakim takim nadzorze nad polowaniem i przy oszczędzaniu danej miejscowości, w krótkim stosunkowo przeciągu czasu osiągnąć można świetne rezultaty w zwiększeniu się ilości zwierzyny i ptactwa. Za przykład służyć mogą majątki bogatszych ziemian nawet w bliskich okolicach Warszawy, gdzie pomimo corocznych polowań, na których biją setki sztuk, ilość zwierzyny nietylko się nie zmniejsza, ale owszem stopniowo przyrasta. Wiadome są wszystkim świetne polowania w lasach Wilanowa, Jabłonny, Krasnego, Skępego, Zegrza, Borowna, Strzelec, Walewic, Psar i t. p.“

„Na dzierżawionych przestrzeniach, warszawski Oddział, stosownie do ustawy, będzie wyznaczał „ochronne miejsca“, gdzie, w celu rozmnożenia zwierzyny, polowanie zupełnie będzie wzbronione, lub też urządzać się będzie raz na lat kilka. Skutkiem tego, takie „ochronne miejsca“ staną się schronieniem i rozsadnikiem zwierzyny.

„Jeżeli liczba członków warszawskiego Oddziału będzie znaczną, co da Towarzystwu dostateczne środki materyalne, to przestrzeń dzierżawionych gruntów, przeznaczonych dla ochrony zwierzyny, może być doprowadzona do szerokich rozmiarów. Już to jedno może się znacznie przyczynić do polepszenia zwierzostanu.

„Oddział warszawski ma zamiar w przyszłości zrobić potrzebne starania, aby ten porządek, obowiązujący dla

ochrony zwierzyny, jaki jest przyjęty w tym Oddziale, mógł być zastosowany także w posiadłościach członków tegoż Oddziału, znajdujących się po za obrębem takowego.

„Stosownie do ustawy, członkowie cesarskiego Towarzystwa myśliwskiego i Oddziałów tegoż mogą być: „honorowi“, „stali“, „rzeczywiści“ i „członkowie-amatorowie“. Taki podział daje możność każdemu ze wstępujących do Towarzystwa wybrać tytuł, odpowiedni do wysokości rocznej składki, oznaczonej dla każdej kategoryi członków.“

Przeszedłszy następnie organizacyę Towarzystwa i jego środki działania, znane nam z powyżej przytoczonych paragrafów, tak autor kończy:

„Ze wszystkich istniejących sportów, polowanie, jako szlachetne zamiłowanie, najwięcej ludzi zbliża do siebie; tam też schodzą się oni bez różnicy wieku, pozycyi, warstw społecznych i narodowości. Stosunki i znajomości porobione na polowaniu, prawie zawsze odznaczają się serdecznością, tchną prostotą i otwartością, a często, pozostając w pamięci myśliwego, należą do najmilszych wspomnień jego życia. Jeżeli zaś nadto myśliwych łączy nie tylko pasya i przyjemność polowania, lecz także i szczere pragnienie, aby wspólnemi i solidarnemi siłami o ile możności przyczynić się do osiągnięcia zacnych i pożytecznych celów, jakiemi są cele cesarskiego Towarzystwa — wtenczas stosunki te stają się tembardziej jednomyślnemi.

„Miejmy więc nadzieję, że warszawski Oddział Towarzystwa, posiadając w gronie swych członków tak wielu prawdziwych i dzielnych myśliwych, ożywionych wspólną ideą i celami, będzie zdolnym przynieść korzyść ogólnemu dobru i tem zasłużyć sobie na powszechną sympatyę i uznanie.“

KRONIKA.

Z cesarskich łowów. Cesarz Franciszek Józef wybrał się był dnia 9. maja wieczorem do Mürzzuschlag na głuszce. Monarsze towarzyszyli: W. ochmistrz dworu ks. Hohenlohe, jen. adjutant hr. Paar i jen. Latour, oprócz dwóch przybocznych adjutantów. Całe towarzystwo przybyło na stacyę kolejową w Mürzzuschlag około pół do 12 w nocy. Po zimnej kolacyi spoczął cesarz półtory godziny w poczekalni kolejowej, a o kwadrans na drugą przy świetle gwiazd przepysznej nocy majowej udano się ku tokowiskom. Nim jeszcze świtać poczęło, podszedł cesarz jednego koguta i pomimo znacznej wysokości, położył go celnym strzałem. Szczęście sprzyjało monarsze tak dalece, że w krótkich odstępach czasu ubił jeszcze dwa inne koguty. Goście mieli także szczęście, bo zastrzelili 10 kogutów. Z tak piękną zdobyczą wróciło całe grono już przed godziną 7. rano na stacyę, a o godz. 9. min. 40 był już cesarz z powrotem w Schönbrunie przy zwykłej swej pracy. Towarzysze cesarza pozostali jeszcze w Mürzzuschlagu dla dalszych łowów.

Około Ischlu, w miejscowości Goisserer Weissenbach, ubił cesarz 22. kwietnia jednego koguta. Jest to pierwszy głuszec, którego cesarz w tamtejszych okolicach podszedł i ubił.

O arcyksięciu Rudolfie wypowiedział sławny powieściopisarz węgierski Jokai rzewną i świetną mową na dorocznem posiedzeniu węgierskiej Akademii umiejętności w Peszcie d. 5. maja 1889. Między innemi wysoko stawiał gorące zamiłowanie przyrody i łowiectwa w zmarłym arcyksięciu. Arcyksiążę — opowiada Jokai — stawał przeciw najdrapieżniejszym zwierzętom tylko z pojedynką w ręce. Zwykł był mawiać: „Jeśli mam tylko jeden strzał do rozporządzenia, to jestem zmuszony dobrze mierzyć i na pewne strzelać.“ I strzelał zawsze na pewniaka; przypuszczał wypadające zwierzę niemal aż do wylotu lufy. Chętnie wszakże ustępował strzału, jeśli szło o to, aby któremu z towarzyszy dać sposobność łowieckiej przyjemności. Na jednem z polowań na niedźwiedzie w Görgöny St. Imre tak się umówił z towarzyszącymi mu magnatami węgierskimi, ażeby dopuścić do strzału bawarskiego księcia Leopolda, który był gościem jego. Wyraził się wówczas charakterystycznie: „Dlaczego nie ma i Niemiec strzelić raz do niedźwiedzia?“

A przecież ten książęcy łowiec — dodaje Jokai który w Siedmiogrodzie na niedźwiedzie, w Egipcie i Palestynie na hyenę, wilka i szakala godził, który całe muzea zapełniał ubitemi przez siebie ptakami drapieżnemi i orłami — ten sam łowiec nie dozwalał, aby tępiono wróble, które ćwierkają na klonach podwórza burgowego w Wiedniu. Mawiał wtedy: „Nie mógłbym się mojej córeczce na oczy pokazać, gdybym miał na sumieniu śmierć choćby jednego wróbelka.“

Wystawa łowiecka. Z przygotowywaną na rok przyszły 1890. wielką wystawą rolniczo-leśną w Wiedniu ma być także połączona wystawa łowiecka. Przewodnictwo odnośnego komitetu poruczono hr. Hugonowi Traun-Abensperg, w. łowczemu cesarskiemu. Niebawem ma być złożony komitet wykonawczy, z uwzględnieniem osób, reprezentujących wszystkie kraje monarchii. Współdziałanie swe przyrzekł także hr. Franciszek Nadasdy, prezydent węgierskiego Towarzystwa łowieckiego. Spodziewać się więc można, że po raz pierwszy przyjdzie w Austro-Węgrzech tak świetna i dokładna wystawa łowiecka do skutku, jakiej dotychczas nie bywało.

Dwa nowe tygrysy zostały w ubiegłym miesiącu dostawione do zwierzyńca cesarskiego w Schönbrunie. Są one darem króla Siamu, wywdzięczającego się za upominki, które mu poseł austro-węgierski bar. Biegeleben od cesarza Franciszka Józefa zawiózł. Tygrysy przybyły na jachcie królewskim w połowie lutego do Singapore, a ztamtąd zabrał je w bezpiecznych klatkach parowiec Lloyda „Marya Teresa“ i dostawił do Triestu, skąd zostały do Wiednia koleją przewiezione.

O polowaniu na niedźwiedzie na Kaukazie zamieszczono w „Russkim Inwalidzie“ następującą notatkę: Dnia 27. marca b. r. poszło siedmiu strzelców z 2. kaukazkiego batalionu rezerwy na polowanie. Wyprawili się na niedźwiedzie w okolicę Nalcziku, w knieje, gdzie niedźwiedź, dzik, dzika koza i jeleń nie są zbyt rzadkimi gośćmi. Weszli w teren, pełen parowów, okrytych leszczyną i dzikiemi gruszami. Psy puszczone ze smyczy pogoniły natychmiast, jeden za kozą, jeden za dzikiem, dwa zaś stanęły wkrótce w gęstwinie jakby je przymurowano. Jeden z myśliwych poskocył, a ujrzawszy niedźwiadka, który się właśnie chciał wynosić, położył go celnym strzałem w komorę. Był to jednoroczny piastun. W dalszym pochodzie zaczęły znowu psy głosić i wystawiły olbrzymiego szarego niedźwiedzia z białą sayją. I ten padł od trzech strzałów. Sądząc po kłach, mógł mieć 7 do 8 lat, a po wypatroszeniu ważył 13 pudów 7 funtów (przeszło 260 kilogr.) Siedmiu ludzi musiało się do niego przyczepić, żeby go z gąszczy wyciągnąć.

Dnia 30. marca polowali ci sami myśliwi drugi raz. Po trzygodzinnych poszukiwaniach wystawiły psy znowu niedźwiedzia, a niebawem odezwało się przywoływanie. I cóż się stało? Oto jeden z kozaków rzucił się na niedźwiedzia z jataganem w ręce i położył go na miejscu. Rzecz szczególna, że kozak ów był dopiero od 6. miesięcy w służbie wojskowej i odznaczał się zrazu niezwykłą bojaźliwością.

Także pawłowski pułk piechoty urządzał z końcem lutego b. r. obławę na niedźwiedzie w okolicach miasteczka Selenina. Obława trwała 4 dni, a wzięło w niej udział 32 żołnierzy i 2 oficerów. Teren polowania był bardzo rozległy. Oprócz licznej nagonki użyto także psów ołonezkich, które się szczególniej do polowania na niedźwiedzia kwalifikują. Pierwszy dzień obławy spełzł na niczem; niedźwiedź przebił się przez nagonkę i wrócił do kniei. Zaszedł przytem ten pocieszny wypadek, że jeden z żołnierzy, wcielonych do nagonki, przeciągnął go kijem po grzbiecie, tak, że kij się aż złamał, lecz myś nie widział w tej obeldze powodu do obrony lub zemsty. Drugiego dnia ubito jednego niedźwiedzia. Trzeciego dnia wypadła niedźwiedzica na jednego z myśliwych, nazwiskiem Andrejewskiego, który, dawszy do niej dwa strzały, zranił ją tylko dość lekko. Nastąpiła chwila wielce krytyczna. Rozwścieklona niedźwiedzica podniosła się na tylnych łapach i rzuciła się ku Andrejewskiemu. Położenie jego było tem straszniejsze, że sąsiedni strzelcy stali dość daleko i nie mogli mu przybyć z pomocą. Lecz wtedy okazały się zbawcami psy ołonezkie. Zaatakowawszy zajadle niedźwiedzicę z boku, zwróciły na siebie całą jej uwagę. Myśliwy zna-

łazł dość czasu, aby jeszcze raz broń nabić i ugodził ją ponownie dwoma strzałami. Mimo to niedźwiedzica zdołała jeszcze powlec się dalej, aż do stanowiska kapitana Rudanowskiego, który ją strzałem w głowę dobił. Na obławie padł jeszcze i czwarty niedźwiedź od ręki kapitana Krauzego, który go bardzo blisko przypuścił i jednym celnym strzałem powalił.

Polowanie na bawoły. Jeden z myśliwych w Zanzibarze tak pisze: „Nie lew, nie pantera jest najstraszniejszym i najwięcej przez krajowców respektowanym zwierzęciem wschodniej Afryki, ale bawoł, o którego wielkości, sile, dzikości, odwadze i twardym żywocie rzadko który z Europejczyków należyte ma wyobrażenie. Bawoł napada zawsze w najrozmaitszych okolicznościach, i chociaż ciężko raniony, ponawia swe napady, dopóki tylko może się ruszać. Myśliwi, strzelając do bawoła, starają się przeto trafić go w krzyże, aby ruchy jego sparaliżować, gdyż strzał w komorę lub w głowę, choćby pochodzący od kuli wielkokalibrowego „expressa", często jeszcze nie jest śmiertelnym. Jeśli zaś bawoł, trafiony w krzyże, padnie i na nogi podnieść się nie może, ma się dość czasu, by go dalszemi strzałami w komorę lub głowę dobić.

„Jak niebezpiecznem jest polowanie na bawoły, świadczy niedawny, tragiczny wypadek jednego z najlepszych myśliwych Anglii. Hon. Guy Dawnay, młodszy brat lorda Downe, przybył w grudniu zeszłego roku do Zanzibaru, ażeby w obfitujących w zwierzynę okolicach Kilima-Nszaro polować. Dawnayowi towarzyszył znany z swych podróży południowo-afrykańskich ornitolog Buckley. Opuścili oni Zanzibar z początkiem stycznia, otrzymawszy jeszcze cenne wskazówki od hr. Samuela Telekiego i porucznika marynarki Höhnela, którzy właśnie z okolic Kilima-Nszaro wrócili.

„Dnia 27. lutego był Dawnay już koło jeziora Njiri, około 54 kilometrów na północ od Kilima-Nszaro. Miał dnia tego nadzwyczajne szczęście; spotkał się bowiem z bawołem i położył go jednym strzałem, co jest prawie niepodobne do wiary. Ale nie dość na tem. W chwili, gdy bawoł padł, skoczył na niego lew, a Dawnay, który miał już tylko jeden nabój w sztućcu, zmierzył się i wypalił do lwa, zatapiającego pazury w bawole. Brzmi to jak bajka, a przecież najwierniejszą jest prawdą; lew padł także. Dostateczny to dowód, jak pewnym swego strzału był Dawnay — a przecież przypłacił życiem swą odwagę myśliwską.

„Następnego dnia trafił Dawnay zwowu na bawoła; strzelił i trafił, lecz zwierzę nie zostało na miejscu, a co dziwniejsza, nie rzuciło się na myśliwego, lecz uciekało. Niestety, była to udana ucieczka. Dawnay pospieszył za ranionym bawołem, że zaś wszystko to działo się w trawie na chłopa wysokiej, zdawało mu się, że ma ciągle ranne zwierzę przed sobą. Tymczasem bawół, zakryty wysokiemi trawami, okrążył stanowisko Dawnaya, i gdy się ten najmniej tego spodziewał, przypuścił doń atak z tyłu. Anglik zwrócił się szybko i strzelił, lecz w pospiechu chybił i bawoł stanął tuż przed nim. Nieszczęśliwy wymierzył jeszcze cios kolbą w głowę rozjuszonego bawoła, lecz ten uderzył go z boku potężnemi rogami, tak, że jeden róg przeszedł przez udo i rozszarpał wnętrzności, drugi zaś przebił głowę Dawnaya. Odważny Anglik padł na miejscu bez ducha."

Strejk słoni. Nietylko piekarze, dorożkarze i hutnicy umieją strejkować; modna ta choroba znalazła już przystęp i do słoni. Wielce pocieszny i charakterystyczny dowód tego złożyły one niedawno w cyrku Salomońskiego w Rydze. Miejscowa *Rigaer Zeitung* tak o tem raportuje:

„Ośm wybornie tresowanych słoni p. Arstingstall, miały się w cyrku ostatniej niedzieli (d. 7. kwietnia) z publicznością pożegnać i wybrać z powrotem do Hamburga. Ta uprzejmość wszakże, z jaką owe czworonogi dotychczas publice się prezentowały, przedzierzgnęła się na przedstawieniu popołudniowem w istną rewolucyę. Co im do głowy strzeliło, trudno zbadać, dość, że w chwili, gdy wszystkie ośm słoni odprawiały swój uroczysty pochód pożegnalny po arenie, wzniósł nagle ostatni z nich trąbę do góry i począł trąbić na trwogę. Było to hasło do buntu. Zamiast iść dalej w kółko po arenie, zwróciły się słonie ku bramie wychodowej. Bileter spostrzegł dość wcześnie ten ruch podejrzany, zatrzasnął więc oba skrzydła drewnianej bramy i podparł je sobą z zewnątrz. Pierwszy ze słoni zbliżył się ku bramie w chwili, gdy chciała się nią wymknąć jeszcze jedna z pań wystraszonych. Tę niewiastę wziął słoń trąbą w pasie, podniósł i niezbyt łagodnie odsunął, na bok, a następnie uderzył czołem dość lekko w bramę i skrzydła jej rozleciały się natychmiast. Za jednem z nich schronił się popchnięty przez bramę bileter. Rozpoczął się więc pochód słoni na kurytarz, który wnętrze cyrku okrąża, a w ciągu pochodu jeden ze słoni, szydząc z wszelkiej karności, przycisnął niegrzecznie samego p. Arstingstall do ściany, i zranił go dość ciężko w nogę. Inny słoń, wchodząc do kurytarza, oglądnął się, a gdy zobaczył przyczajonego za bramą biletera, wydobył go ztamtąd trąbą, obrócił nim dwa razy tryumfalnie a potem rzucił nim za siebie jak piłką. Wszystko co żyło, umykało z drogi strejkującym kolosom świata zwierzęcego, które tymczasem szły poważnie przez kurytarz, wygniatając tu i owdzie okna i czyniąc tym podobne spustoszenia. Na chwilę zatrzymały się słonie także przed okienkiem kasy cyrkowej i zaglądały do środka, ale nie znalazłszy tam nic ciekawego, zwróciły się ku wychodowi, wiodącemu na podwórze. Był on zaryglowany; od czegoż jednak spryt i tresura słonia? Zwykłą mechanikę zamknięcia zgłębiły natychmiast, bramę otworzyły, i dopiero w wesołych skokach wpadły na podwórze... To, co tu wyrabiały, było rodzajem jakiegoś wojennego tańcu przy akompaniamencie głosów, przypominających surmę bojową. Że przy tej sposobności kilka płotów stratowały, to było im obojętne. Przybyłym szybko dozorcom udało się wreszcie rozigrane kolosy poskromić i spętać.

„Ale zakosztowana choć przez chwilę swoboda, podobała się słoniom widocznie, gdyż w rozmaity sposób wyrażały swe zadowolenie, a gdy nocą rozpoczęło się transportowanie ich na dworzec kolejowy, udało się znowu dwom słoniom zerwać pęta i pogonić truchtem napowrót ku cyrkowi. Rzecz szczególna wszakże, iż zamiast dojść do samego cyrku, zatrzymały się przed jednym z bliższych domów na tej samej ulicy i weszły tam na podwórze. Potrzeba było dopiero dłuższych usiłowań, ażeby je stamtąd wyprowadzić. Na samym dworcu wreszcie pojawiały się jeszcze zamiary ucieczki, słonie zeskakiwały z peronu, lecz już nie zdołały się uwolnić."

Tyle *Rigaer Zeitung*. Widocznie jeden i ten sam pochód tryumfalny, odprawiany bezpośrednio przed wyjazdem, utkwił w pamięci tych sprytnych zwierząt jako akt, poprzedzający męczarnię podróży czy to koleją, czy statkiem. Tu zamknięcie w ciasnych wagonach i piekielny hurkot jazdy, tam podnoszenie na pasach w powietrze zapomocą windy — okropności te przypomniały się słoniom wśród pochodu pożegnalnego i urządziły też strejk przeciw cywilizacyjnym wymysłom naszego wieku.

Pamięć zwierząt. W pismach belgijskich znachodzimy następującą, wielce ciekawą notatkę. Sławny, długoletni pogromca zwierząt Martin, porzucił był swój zawód i osiadł na wsi w okolicach Rotterdamu, gdzie niedawno temu umarł. W pięć lat po opuszczeniu swej wielkiej menażeryi zapragnął był Martin znowu ją raz zobaczyć. Wybrał się więc do Brukseli i wszedł do menażeryi około godz. 4. po południu, w czasie karmienia zwierząt. Było to w zimie. Okutany w swój płaszcz, wcisnął się między publiczność, oczekującą na rozdawanie żywności zwierzętom, które jej z niecierpliwością wyglądały. W chwili, gdy już żywność zgłodniałym potworom rzucono, zakaszlał Martin. Na odgłos tego kaszlu porzuciły żer wszystkie zwierzęta, poczęły się rozglądać i nadsłuchiwać, a w końcu wybuchły dzikiemi wrzaskami radości, rzuciły się do krat i poczęły niemi tak wstrząsać, że wielu trwożliwych widzów uciekło z menażeryi. Papugi, kangury, pelikany, a szczególniej małpy krzyczały przeraźliwie, hyeny i wilki wyły, okropny chór najróżnorodniejszych głosów zwierzęcych wstrząsał menażeryą. Wtedy wystąpił Martin naprzód i nakazał ruchem ręki, a następnie potężnym swym głosem milczenie. Wszystko umilkło. Pogromca przeskoczył wówczas przez baryerę, dzielącą klatki od publiczności, i idąc od jednego zwierzęcia do drugiego, wsuwał rękę pomiędzy szczeble, aby wdzięczne potwory głaskać. Szczególniej potężna tygrysica okazywała szaloną radość na widok pogromcy. Gdy palce Martina przesuwały się po jej grzbiecie, drżeniem radości drgały jej wszystkie członki, stłumiony mruk rozkoszy wydobywał się z jej gardła, a szorstkim swym językiem lizała przez szczeble klatki twarz dawnego pana. Gdy się zaś Martin oddalił, legła na ziemi nie tykając jadła, które jej dopiero co rzucono.

Porzuciwszy tygrysicę, zwrócił się Martin ku klatce lwa, który go był niegdyś w udo ukąsił. Otrzymawszy zato dotkliwą karę z ręki pogromcy, żywił on odtąd ku niemu niepohamowaną nienawiść. „Nero" — tak się zwał lew — ujrzawszy Martina w menażeryi, podniósł głowę i utkwił w nim swe ślepie, które lśniły się zielonym ogniem jak dwa szmaragdy. Leżał w głębi klatki; gdy pogromca zbliżył się do niego i zawołał pieszczotliwie: „Nero!" — lew nie odpowiedział żadnym ruchem i spoglądał na pozór obojętnie. Skoro jednak Martin odwrócił się idąc dalej, Nero przyskoczył jednym susem do szczebli klatki, a wystawiwszy przez nie potężną swą łapę, rozszarpał kawał płaszcza na ramieniu pogromcy i mało co jego samego nie skaleczył.

A więc i przywiązanie i nienawiść tkwiły w pamięci zwierząt jeszcze po pięciu latach!

W czasie napadu drapieżnych zwierząt nie budzą się w człowieku zbyt straszne uczucia i nie przygnębia go strach śmiertelny — jeśli można wierzyć opowiadaniom ludzi — co prawda ludzi odważnych — którzy się znajdywali w podobnem położeniu i szczęśliwie uszli śmierci.

Sławny podróżnik afrykański, Livingstone, napadnięty został pewnego razu przez lwa, który zaczął pożerać jego ramię. Niespodziewana pomoc położyła wszakże na czas, za pomocą celnej kuli, kres życiu zwierzęcia. Livingstone zapewniał wówczas, iż nie czuł ani cienia obawy lub bolu; był tylko bardzo ciekaw, do jakiej części jego ciała zabierze się lew, gdy pożre ramię. Coś podobnego zdarzyło się obecnemu posłowi tureckiemu w Londynie, Rustemowi baszy. Na niego znów napadł niedźwiedź i zaczął mu obrabiać rękę i ramię; Rustem basza również nie doznał obawy ani bolu, natomiast gniewało go to strasznie, że niedźwiedź, obgryzając go, mruczał z zadowolenia. I tym razem pomoc przybyła w porę. Trzeci wypadek tego rodzaju przytacza oficer indyjski, sir Edward Bradford, który w ustronnem miejscu został napadnięty przez tygrysa. Zwierzę przytrzymało go łapą i zaczęło z wielkiem upodobaniem obgryzać mu najpierw dłoń, a następnie rękę do ramienia, poczem puściło go i uciekło. Sir Bradford zapewnia także, iż nie bał się wcale, a bólu doznał tylko, gdy tygrys pierwszy raz zatopił zęby w jego dłoni.

Zwierzęta spadkobiercami. Anglicy, jak wiadomo, nie grzeszą brakiem oryginalności. Nie pierwszy to raz zdarza się, że umierając, czynią zapisy na rzecz ulubionych zwierząt. Niedawno temu uczynił także coś podobnego niejaki p. Dean pod Londynem. Zapisał on 750 funtów rocznie swym 18 koniom i 10 psom, aby zapewnić im „spokojną starość“. Do opiekowania się legataryuszami, wyznaczył dwóch opiekunów, którzy nikomu nie będą obowiązani składać rachunku z tych pieniędzy. Dopiero kiedy ostatnie zwierzę zdechnie, renta powróci do krewnych p. Deana. Ci ostatni wystąpili z żądaniem unieważnienia zapisu, twierdząc, że zwierzęta nie mogą dziedziczyć, ponieważ nie są w stanie osobiście wobec sądu zażądać swych działów. Sędzia North jednak żywił pod tym względem inne poglądy i zapis potwierdził.

Pustynnik należy znowu do historyi w zakresie fauny europejskiej. Jak zagadkowo się pojawił tak i znikł — bezpowrotnie. Z kraju naszego nie otrzymaliśmy ani jednej relacyi, ażeby go kto widział w przelocie, lub jakie przezimowane stadka na polach napotkał. *Nec locus* — i trzeba będzie czekać szeregi lat, aż go znowu jaka przygoda podróżna, jakie burze i wichry na szlaki nasze przypędzą. W pismach obcych nie spotykamy również wzmianki, aby się gdzieś w Niemczech, Szlezwiku lub w Anglii pojawił.

Dla kronikarskiej dokładności zeszłorocznego przelotu pustynników zarejestrujemy tu jeszcze niektóre daty, dotychczas niepodane.

W Niemczech widziano pustynnika tu i owdzie jeszcze w grudniu, a mianowicie w okręgu Lignickim, nad Mozelą, w okręgu Hildesheim i t. d. Około Gdańska schwytano starego samca jeszcze w d. 12. lutego.

W Węgrzech były pustynniki wprost tylko przelotnymi ptakami, a główny ich ciąg przypadał na maj. Forpoczty pojawiły się już 25. kwietnia — potem główne stada — a z początkiem czerwca ariergarda. Złowiono, ubito lub znaleziono w całych Węgrzech około 35 egzemplarzy, obserwowano 170 do 180. Cały przelot był znacznie silniejszym niż w r. 1863., chociaż w owym czasie uważano tam żywszą skłonność pustynników do gnieżdżenia się, niż w roku ubiegłym. Wówczas zimowały nawet niektóre, a z przeszłorocznego przelotu nie nadeszła żadna pewna wiadomość, aby się pustynniki miały gdzie gnieździć. Widocznie tylko ciągnęły przez Węgry, gdyż począwszy od czerwca są już doniesienia o pojawianiu się pustynników coraz rzadsze, a od sierpnia brak ich już zupełnie.

Całkiem podobnie miała się rzecz z przelotem pustynnika przez Galicyę, gdyż o gnieżdżeniu się tego ptaka w naszym kraju nie mieliśmy żadnej całkiem wiarygodnej relacyi.

Z Klundert, miejscowości w Hollandyi pisano w jesieni: „W prowinc. Drenthe w Niderlandach, gnieździły się pustynniki w wielu miejscach, jak o tem pisma donoszą. Widują codziennie stadka po 40 do 60 sztuk, a zazwyczaj na tych samych miejscach. W prowincyi Drenthe są nieprzejrzane pustkowia wrzosem porośnięte. Tu i owdzie sprawiają pólko popiołem roślin miejscowych i sieją hreczkę. Otóż na tych pólkach utrzymywały się pustynniki, ale były zanadto płoche, aby je można było na strzał podejść.“

Angielskie pismo *Field* zamieściło następujące trzy relacye o zeszłorocznym pobycie pustynników w Anglii:

R e d e a r (Anglia północno-zachodnia) 26. czerwca. Stosownie do wiadomości, które mogłem zebrać, pierwsze pustynniki pojawiły się u nas w pierwszej połowie maja i wtedy widziano u ujścia rzeki Tees stadko, złożone z 6. sztuk. Według wszelkiego prawdopodobieństwa wszystkie wyginęły, gdyż znaleziono kilka sztuk zdechłych nieopodal od brzegu morza. Kilka innych stadek widziałem pomiędzy ujściem rzeki Tees i Saltburn, chociaż, sądząc po ilości, wnoszę, że musiałem jedne i te same stadka widywać. Dnia 7. czerwca ubito 5 sztuk z bardzo licznego stada w okolicy Marske i te miałem sposobność bliżej poznać. Były 4 samice i 1 samiec. Wszystkie samice miały jaja w owaryach a jedna widocznie siedziała na gnieździe i miała tylko jedno jajo wielkości laskowego orzecha w przewodzie. D. 10. stadko z 12 sztuk złożone widziano koło Redear, drugie zaś, znacznie większe, nieco dalej na północ między Hinderwell i Kettleness. Znajomy mój, mieszkający na wyspie Man, donosi mi, że stado złożone z przeszło 50 sztuk przyleciało na wyspę w pierwszych dniach czerwca. *T. H. Nelson.*

R a i n s w o r t h obok Mansfield. Przeszłego piątku (29. czerwca) przyniósł mi chłop pustynnika, którego znalazł zabitego na polu, zasianem rzepą. Człowiek ten powiedział mi, że ich bardzo wiele widział koło swego obejścia i że parobek jego wyjął z jednego gniazda dwa jaja i to już w pierwszych dniach czerwca. We wtorek zatem, zwerbowawszy sobie owego parobka, pojechałem na wskazane miejsce i na zapytanie, gdzieby widział owe ptaki, odpowiedział: „a ot są“, wskazując na pole rzepy; wyjąwszy lornetkę, mogłem im się wtedy dokładnie przypatrzyć. Żerowały na samym środku pola zbitą kupką, obgryzając młode pędy rzepy i raz wraz zrywały się pojedynczo zapadając znowu o parę kroków dalej. Narachowałem ich wtedy przeszło 50 sztuk. Skoro zbliżyliśmy się do nich na jakie 50 kroków, zerwały się wszystkie naraz, klepiąc skrzydłami jak gołębie i zaczęły szybować, krążąc koło nas szybko i posuwisto jak jarząbki, wydając przytem odgłos bardzo melodyjny: „tit te udi, tit te udi“. Poszedłem następnie zobaczyć gniazdo, z którego parobek wyjął był dwa jaja, i w samej rzeczy znalazłem je jeszcze z trzema jajami. Gniazdo, jeżeli je tak nazwać mogę, był to dołek dosyć płytko wygrzebany pod krzakiem tarniny, wysłany dosyć niedbale źdźbłami słomy, i w którym, ku memu zdziwieniu, naokoło jaj znajdowało się dwanaście kamyczków, wielkości grochu. Jaja są wielkości gołębich, tylko dłuższe, żółtawe z ciemno-brązowemi plamami. Nie szukałem za innemi gniazdami, gdyż pustynniki bez przestanku krążyły nad nami, a niektóre z nich, przypuszczam, że samice, wydawały odgłos zupełnie jak kura gdacząca za kurczętami. *J. Whitaker.*

Z I r l a n d y i. Skoro pustynniki najprzód się w naszych stronach pojawiły około 18. maja, widywałem je w małych stadkach, złożonych z 8 do 10 sztuk każde. W kilka dni potem spotykałem je parami i nawet parujące się. To trwało tydzień lub ośm dni, potem zaś znowu zbiły się w jedno wielkie stado, a pozostało 5 czy 6 parek, które trzymają się z osobna, chociaż nie w wielkiem oddaleniu od siebie. Stado wielkie widuję w dzień żerujące, głównie na rzepie, parki zaś pojedyńcze, gnieżdżące się w cienistych krzakach, słyszę tylko rano i wieczór, gdakające jak kury na kurczęta. Jedno gniazdo widziałem przypadkiem z trzema jajami, ale nie oddawałem się dalszym poszukiwaniom, żeby starych ptaków nie płoszyć. *H. Dunbar Brandes.*

Ornitolog R a d d e, który miał sposobność badać pustynniki w ich ojczyźnie, pisał jeszcze we wrześniu, że nie ma wcale nadziei, ażeby ptak ten miał się w Niemczech utrzymać, gdyż brak mu stepowych obszarów, niczem nie zakłóconej ciszy i warunków samotności, a nadto nie ma tu jego najmilszej żywności, tj. ziarn i młodych pędów rozmaitych gatunków *Salsola* i *Salicornia*, które piasek słonych pustyń azyatyckich porastają. Wedle poszukiwań w wolach ubitych w Europie pustynników, żywiły się one tu przeważnie ziarnem i młodemi pędami czerwonej koniczyny, obok tego ziarnami pszenicy, żyta i traw, a z predylekcyą dobierały sobie ziarn takich roślin, które należą do flory stepowej i także w tych lub pokrewnych gatunkach na stepach azyatyckich się pojawiają.

Wyścig gołębi z pszczołami. Niezwykły zakład został rozegrany w tych dniach w Hamm, w Westfalii. Chodziło o przekonanie się, czy pszczoły, wypuszczone jednocześnie z gołębiami pocztowymi, w odległości jednej mili od Hamm, prędzej zalecą do ula swego, niż gołębie do gołębnika.

Wszyscy dawali pierwszeństwo gołębiom, jeden tylko rolnik okoliczny M R., zamiłowany amator i hodowca gołębi, przeciwnego był zdania. Postanowiono zrobić próbę i w tym celu 12 gołębi i 12 pszczół puszczono jednocześnie ze wsi Rhynem, odległej o dobrą godzinę od Hamm. Pszczoły, dla łatwiejszego rozpoznania, posypano mąką. Sędziowie i zakładnicy oczekiwali na rezultat w pobliżu ula, zkąd też doskonale widać było gołębnik.

Pierwsza pszczoła „upudrowana“ przybyła na pół minuty przed pierwszym gołębiem, a reszta powietrznej drużyny stanęła jednocześnie w parę sekund później. M. R. wygrał zakład; obecni przekonali się, że na krótką metę pszczoły mogą sprostać gołębiom w locie.

Bekas chirurgiem. Przyrodnicy bywają nieraz obdarzeni równie bujną wyobraźnią jak wirtuozi ś. Huberta w zakresie myśliwskiej łaciny.

Znany naturalista genewski pan Wiktor Fatio zamieścił w „Archiwach nauk przyrodniczych i fizycznych“ następujące spostrzeżenia nad zmyślnością bekasów:

Polując niejednokrotnie na te ptaki, zauważył p. Fatio, że postrzelony bekas w sposób nadzwyczaj zręczny opatruje sobie, za pomocą piór i dzióba, otrzymane kontuzye. Na otwarte rany kładzie plaster, a zdruzgotane członki nastawia i bandażuje plecionką z piór. Pan Fatio zabił raz bekasa, który na dawnej ranie w piersiach miał szeroki plaster z puchu i piórek, przylepionych do ciała skrzepami krwi zaschłej. Takie same ślady opatrunku znalazł kiedyś p. Fatio na kuperku innej ofiary trafnego strzału swego; dwa razy spotkał się z kalekami postrzelonemi w nogę, zawsze artystycznie i dokładnie obwiązaną w uszkodzonem miejscu. Jeden z tych bekasów miał trzeci staw łapki świeżo ale mocno obandażowany piórkami z grzbietu, u drugiego zaś samą łapkę, bliską już zrośnięcia i wygojenia, pokrywał ciasno spleciony bandaż, który ją utrzymywał we właściwem położeniu.

Połów ryb w Rosyi obliczają w przybliżeniu na 40 milionów pudów t. j. 800 milionów kilogramów rocznie, co licząc pud tylko po rublu, czyni 40 milionów rocznego dochodu.

Tegoroczny połów śledzi w Rosyi odbywał się głównie koło Worogór, o 20 wiorst od Onegi w gubernii Archangielskiej. Ilość śledzi była tak wielką, jak już dawno nie widywano. Połowem zajmowało się około 1000 rybaków. Na targu w Onedze sprzedawano z chwilą rozpoczęcia połowu 100 sztuk śledzi po 30 kopiejek, czyli mniej więcej po 3 ruble za pud, a później po półtora rubla a nawet po rublu za pud t. j. za 40 funtów śledzi.

Z poezyj Mazuranicza. Franciszek Mazuranicz, poeta chorwacki, odznacza się gorącem poczuciem natury, a w obrazach jego tkwi częstokroć myśl bardzo głęboka, zaczerpnięta z odwiecznej walki świata słowiańskiego z germańskim. Uderza to szczególniej w zbiorku jego „poezyj prozą“, p. t. „Liście“. Oto dwa ustępy w pięknym przekładzie Br. Grabowskiego:

J a s k ó ł k i. Kiedy na wiosnę r. 1883. jaskółki powróciły do Celowca, znalazły w gnieździe swojem, na gmachu kasy oszczędności, wróbla.

Wdzierca żadną miarą nie dał się wykurzyć z gniazda.

Jaskółki odleciały. Wkrótce powróciło ich całe stado, a każda niosła w dzióbku kawałek błota. W oczach tłumu ludzi zamurowały wróbla w zajętej siedzibie. Oglądałem właśnie zamurowane to gniazdo w Celowcu. Na zewnątrz tynku wygląda tylko z niego dziób wróbla. W walce śmiertelnej chciał nim widocznie przebić mur swego grobowca.

...Tak robią jaskółki w ziemi słoweńskiej — pomyślałem sobie, patrząc na gniazdo... A co robią bracia Słoweńcy, gdy im kto dom zabierze?

— Robią to, co i Chorwaci: przybyszowi przynoszą jeszcze wiązkę słomy, aby mu się dobrze działo...

M ę c z a r n i e. Byłem z przyjacielem na polowaniu. Wypaliłem do gołębicy, ale była tylko postrzeloną ...trzepoce oto skrzydełkami.

Mój „Wilkołak“ chwycił ją okrutnemi zębami. Zadusi! — pomyślałem sobie.

Biedna wszakże gołębica żyła jeszcze, gdy mi ją pies do nóg przyniósł. Żeby nie męczyła się, skręciłem jej kark i rzuciłem do torby. W godzinę potem wstąpiliśmy do gospody na obiad.

Zaglądam do torby i cóż widzę? Gołębica żyje jeszcze!

Przyjaciel mój, stary myśliwy, wyrwał jej pióro i zwyczajem myśliwskim przekłuł ją... Biedna gołębica musiała trzykrotnie umierać.

W domu oddałem zdobycz do kuchni.

Po chwili wchodzi służąca i powiada, że gołębica żyje. Co z nią zrobić? — pyta. Postrzeloną i duszoną skubią ją teraz za życia.

Żal mi się zrobiło biedaczki i darowałem jej życie. I czy dacie wiarę? Teraz oto skacze po pokoju i przyjaźni się z „Wilkołakiem“.

Biedaczka! Postrzelono ją, kark jej skręcono, przekłuto, żywą skubano, a ona jeszcze żyje!

Bawi się z nią ten sam właśnie psiak, który ją dusił, — gotów na skinienie pańskie dusić na nowo...

Nieprawdaż, że biedna?...

Z dykteryjek myśliwskich. Co wy się dziś na polowaniu znacie! Nawet psy wasze, synku panie kochany, pogłupiały i są do niczego. Mnie się to spytać, jak trzeba psy tresować i jak ich zażywać...

...Już się śmiejecie, myślicie, że przesadzam, a no, posłuchajcie sami, synku panie kochany, i osądźcie.

Raz miałem wyżła czeskiego, sukę, znakomitą bestyjkę. Pociąg miała do wody, jak wydra, nazwałem ją zatem „Wisła“ i postanowiłem, synku panie kochany, abrychtować ją na kaczki. Wy dziś nie wiecie, jak to robić, ale ja wam powiem. Suszyłem mięso dzikich kaczek, skrobałem je na proszek i dawałem, synku panie kochany, Wiśle zażywać...

...Myślicie, że zmyślam? A niechże mnie kaczki zdepczą, jeśli to nieprawda!

Słuchajcie, co dalej było.

Raz, synku panie kochany, wyszedłem z nią na staw; Wisła buch w wodę, ja ją wołam, świstam, ale gdzie tam — sunie prosto w oczerety jak szalona. Nagle zaczyna skowyczeć i zmyka z oczeretów. Patrzę, co się stało — a tu, synku panie kochany, kaczka chwyciła ją za ogon. Swojska kaczka, swojska, ze wsi, która się tam gnieździła. No, nic dziwnego, do swojskich kaczek nie była Wisła abrychtowana...

...Ale co to za rozum u tych psów! Od tego czasu, jak tylko Wisła hulnęła do wody, to zawsze, synku panie kochany, ogon trzymała do góry i na bok jak wiewiórka... I jeszcze lepiej się stało, bo jak za kilka miesięcy miała szczenięta, to im sama ogony poodgryzała, wiedząc już z doświadczenia, że kaczka może psa w ogon ukąsić!

...Ot, psi rozum! Pokażcie mi dziś taką Wisłę, synku panie kochany...

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie